PŁOMYK 4

DWUTYGODNIK
DLA MŁODZIEŻY
25.II.1977

Kwiaty moda, film i... woda

W tych czterech słowach można streścić prawie cały numer. Rozszyfrujemy jednak, co się kryje pod tymi kryptonimami i jaki zachodzi związek pomiędzy owymi czterema „żywiołami" a... Dniem Kobiet.

KWIATY reprezentowane są przez goździk (a właściwie dwa czerwone goździki) w felietonie z cyklu „Wokół nastolatków". Goździk dla Waszych Mam znalazł się na czele numeru. W taki sposób chcemy Je uhonorować z okazji zbliżającego się Dnia Kobiet. Chcemy Im życzyć, by nie tylko od święta, lecz codziennie miały jak najwięcej dowodów Waszego serdecznego przywiązania. W dalszej części numeru kwitną „Szkarłatne Róże", drukujemy bowiem dalsze listy–wnioski naszych Czytelników na przyznanie tego odznaczenia ich ulubionym, szczególnie cenionym nauczycielom.

MODA pojawia się w tym numerze pod różnymi postaciami: od mody ludów starożytnych – do najnowszego krzyku mody, który... rozlega się na ostatniej stronie okładki. Spostrzegawcze oczy naszych Czytelników dostrzegły zapewne, że młoda Egipcjanka z pierwszej strony okładki wykonała swój plażowy strój z tkaniny zszywanej z różnokolorowych ścinków. Jak samej wykonać podobny materiał – radzimy na końcu numeru. A co i jak z niego uszyć – pomyślcie same i za naszym pośrednictwem zaproponujcie swoim koleżankom. Konkurs ten, podobnie zresztą jak artykuł z dziejów mody oraz z historii kosmetyków – to prezent dla naszych Czytelniczek z okazji 8 marca. Ale i chłopcy znajdą w dziejach mody sporo ciekawostek na temat męskich perypetii z tą kapryśną dyktatorką. Wszystkim zaś zwracamy szczególną uwagę na zawarty w tym artykule przepis na elegancki strój: „Zawsze tak staram się być ubrany, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie – a nigdy tak, żeby widziano, żem się wystroił umyślnie..." Autorem tego przepisu sprzed 135 lat jest... Juliusz Słowacki.

FILM I WODA łączą się razem w tym numerze w marynistycznym filmie „Smuga cienia", który jest adaptacją powieści Josepha Conrada. Kto zna powieść – obejrzy zdjęcia z filmu, a kto zna film – odczyta fragmenty powieści. Z krainy filmowo-powieściowej wpływamy na rzeczywiste morza i oceany towarzysząc kapitanowi Jaworskiemu w jego zeszłorocznych jachtowych sukcesach. Jeszcze raz zanurzamy się w wodzie, i to na rekordową głębokość 10 919 m, czytając artykuł o historii badań podwodnych.
No, ale jaki związek zachodzi pomiędzy filmem i wodą a Dniem Kobiet? O artykuły i zdjęcia z filmów proszą nas przeważnie dziewczęta. A więc spełniamy ich życzenia. A woda? Woda przyda się do kwiatów, które otrzymają od swoich wielbicieli, co sprawi im niewątpliwie radość równie wielką, jak Monice z felietonu obok...

„Płomyk" wydawany jest
przez Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

NA OKŁADCE: Trochę słońca i miły uśmiech
przesyła Czytelnikom „Płomyka"
Wasza rówieśniczka z Egiptu
Fot. kolor. Lech Zielaskowski

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Ewa Kotowska
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)

Napisał Ryszard Przymus
Ilustrowała Bożena Truchanowska

GOŹDZIK DLA MAMY

Stałem przed wystawą i patrzyłem na kwiaty. Zręcznie ominąłem wzrokiem gałązki bzu i mimozy (ładne, ale ceny...), zrezygnowałem z okazów w doniczkach, zatrzymałem wzrok na goździkach. To było to, co mogłem ofiarować w Dniu Kobiet mojej mamie. W dodatku stać mnie było na kupno tylko jednego kwiatka, więc namyślałem się jeszcze przez chwilę. W końcu wybrałem piękny, czerwony goździk i wszedłem do sklepu. Starsza pani uśmiechnęła się na mój widok:

– Co dla ciebie?

– Goździk, proszę pani! Ten czerwony... Dziękuję. I jeszcze trochę zielonego, i wstążkę, żeby było ładnie...

– Rozumiem... To dla mamy?

– Tak...

– Kwiatek dla matki... – westchnęła z zamyślonym uśmiechem sprzedawczyni.

– Ile płacę?

– 23 złote.

– 23 złote? Aż tyle? – przeraziłem się, bo miałem tylko dwudziestaka. – Na wystawie była cena 18 złotych.

– Tak, ale bez przybrania...

– A ja myślałem... – umilkłem przygnębiony. Kwiatek był taki ładny, a brakujące trzy złote przekreślały możliwość jego nabycia. Sprzedawczyni popatrzyła na moją przygnębioną minę i powiedziała:

– Mówiłeś, że ten goździk dla mamy... wiesz co: niech już będzie jak jest. Zapłać, ile masz, a o resztę się nie martw.

– Naprawdę? – ucieszyłem się. – Dziękuję, ale ja pani przyniosę te 3 złote. Do widzenia.

– Nic nie przynoś. Już wszystko jest dobrze. Do widzenia.

Podziękowałem jeszcze raz i wyszedłem na ulicę. Trochę czułem się zawstydzony tymi darowanymi trzema złotymi, ale przede wszystkim byłem wdzięczny tej kobiecie z kwiaciarni. Jasne, mógłbym wziąć goździk bez przybrania, ale to nie to samo... A zresztą, naprawdę odniosę te trzy złote. Zatrzymałem się i rozchyliłem delikatnie papier. Zerknąłem na kwiatek i upewniłem się, że dokonałem właściwego wyboru. „Mama na pewno będzie zadowolona..." – pomyślałem i przypomniałem sobie, że ma mnie tylko jednego. Ojciec odszedł od nas kilka lat temu i mieszkał gdzieś na Śląsku. Zupełnie nie interesowałem się jego osobą, zresztą na zasadzie wzajemności. Tylko comiesięczne przekazy pieniężne, jakie przychodziły do domu, były świadectwem egzystencji i sądownie zaleconej pamięci. Mieszkałem więc tylko z matką, jej wszystko zawdzięczałem, ją tylko kochałem... Nie, to nieprawda! Kochałem również Beatę, ale to była inna miłość. A jednak los zdecydował, że zostałem poddany trudnej próbie.

Właśnie skręciłem w ulicę prowadzącą do domu, kiedy nagle wpadła na mnie Beata.

– To ty? – zawołała zdyszana.

– To ja...

Przyjrzałem się jej z bliska i wydała mi się ładniejsza niż zwykle: wesoło błyszczały jej oczy, miała zarumienione od biegu policzki.

– Idziesz do domu? – zapytała po chwili.

– Wcale nie... – odpowiedziałem nieporadnie i nagle zażartowałem. – Właśnie szedłem do ciebie...

– Do mnie?

– Przecież dzisiaj jest Dzień Kobiet.

– To prawda... – zgodziła się i zapytała nieśmiało: – A ten kwiat też dla mnie?

– Dla ciebie! – potwierdziłem rozweselony, że robię dobry kawał; za chwilę wszystko wyjaśnię Beacie i będzie w porządku. Wiedziałem, że ma poczucie humoru i na pewno pozna się na żarcie... Ale omyliłem się całkowicie! Beata stała przede mną dziwnie wzruszona i trzymała jakoś niezgrabnie goździk przeznaczony dla mojej mamy...

– Dziękuję ci, Krzysiu! Nie spodziewałam się, bo ja jeszcze nigdy... – szepnęła po chwili, a ja natychmiast zrozumiałem, że jeśli przyznam się do swojego głupiego dowcipu, to przekreślę coś pięknego między nami, a przede wszystkim rozczaruję Beatę. Ona jeszcze nigdy nie dostała kwiatów od chłopca, a pierwszy, czyli ja – uczynił to „dla kawału"... Głupia sprawa! No, i dobrze! Mam za swoje! Tylko, że mama nie będzie miała kwiatka w Dniu Kobiet...

– Nie ma co dziękować... – odpowiedziałem. – Dobrze, że się spotkaliśmy. Ale ty się gdzieś śpieszysz?

Zanim się spostrzegłem, pocałowała mnie w policzek i pobiegła ulicą z kwiatkiem...

Poszedłem wolno w stronę domu. Na dworze był wczesny marcowy zmierzch. Spojrzałem z obawą w okna swojego mieszkania, ale były ciemne. „Mama się spóźnia... – pomyślałem. – Wpadnę do domu i zadzwonię do Leszka. Może ma jakąś wolną forsę?" Z obawą wszedłem do mieszkania, ale mamy naprawdę nie było. Za to w pokoju na stole stały w wazonie różne goździki. „Od pacjentów..." – domyśliłem się. – „No, tak... Obcy ludzie pamiętali, a ukochany synek podarował kwiatek zamiast matce – dziewczynie..."

Po chwili dopiero zobaczyłem na stole kartkę i jakieś pieniądze. Przeczytałem krótki liścik: „Krzysiu! Wpadłam do domu tylko na chwilę. Zaraz muszę wracać do szpitala. Wrócę jutro koło południa. Zostawiam ci pieniądze na teatr..."

DOKOŃCZENIE NA STR. 24

W KRAJU I NA ŚWIECIE

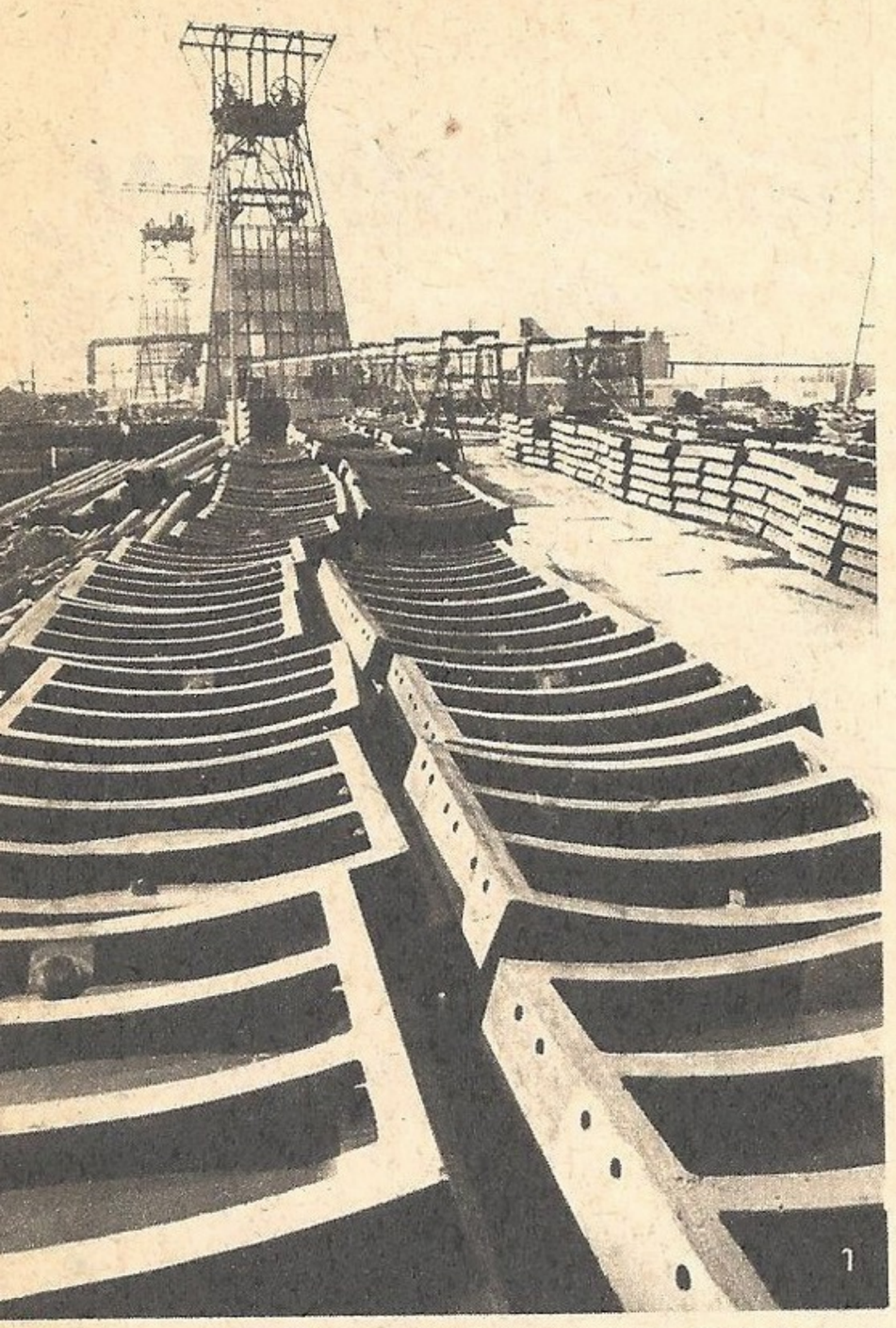
1

Coraz dalej w głąb ziemi posuwają się budowniczowie Lubelskiego Zagłębia Węglowego. W Bogdance trwa drążenie drugiego szybu i już niedługo górnicy spodziewają się dotrzeć do pierwszych pokładów węgla. Wszystkich szybów ma być 28, a zagospodarowanie całego Zagłębia przewidziane jest w ciągu 15 lat. Na zdjęciu widać stalowe pierścienie, którymi wzmacniane są szyby. **(Fot. 1)**

2

W samotny rejs dookoła świata wyruszyła przy końcu ub. roku kapitan żeglugi jachtowej – Krystyna Chojnowska-Liskiewicz. Podjęła tę wyprawę jako pierwsza kobieta w dziejach jachtingu.
Żeglarka płynie na jachcie „Mazurek", który został specjalnie przystosowany do samotnego rejsu. Jacht jest niewielki, ma zaledwie 9,5 m długości, kadłub i pokład wykonane są z tworzyw sztucznych.
Pani Krystyna wypłynęła z Wysp Kanaryjskich i przez Atlantyk, Kanał Panamski i Pacyfik, po przebyciu 16 tys. mil morskich dotarła do Sydney w Australii. Gdy ten numer „Płomyka" do Was dotrze, żeglarka będzie jeszcze przebywała w tym porcie, czekając, aż skończą się huraganowe wiatry wiejące zwykle o tej porze u północnych wybrzeży Australii. A potem – do pokonania jeszcze 14 tys. mil morskich na trudniejszej od poprzedniej trasie – przez Cieśninę Torresa, burzliwy Ocean Indyjski, koło Przylądka Dobrej Nadziei i dalej **(Fot. 2)** przez Atlantyk do Wysp Kanaryjskich. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, samotna podróżniczka dotrze tu w styczniu przyszłego roku.

Rekordy w naszych portach. W zeszłym roku przeładowaliśmy ok. 57 mln ton towarów, znacznie więcej niż w ubiegłych latach. Pierwsze miejsce pod tym względem zajął zespół portowy Szczecin-Świnoujście, w którym przeładowano 22,5 mln ton towarów. Najwięcej przeładowano w naszych portach węgla – ponad 2[illegible] mln ton, zboża – 6 mln ton, rudy i pal[illegible] płynnych – po ok. 5 mln ton.

Ukazał się nowy kalkulator elektroniczny o nazwie K-764. Aparat służy do szybkich obliczeń matematycznych. Jest nieco większy od paczki papierosów, waży zaledwie 200 gramów i może być zasilany z baterii lub sieci. Produkcję kalkulatorów rozpoczęły w Bydgoszczy Zakłady „Eltra". W tym roku ukaże się około 40 tys. tych poszukiwanych aparatów. **(Fot. 3)**

Domy o tak ciekawej architekturze wznosi się w Tbilisi, stolicy Gruzji. Miasto leży w dolinie między górami, nie ma więc tu miejsca na budowę tradycyjnych domów. Budynek wznosi się wprost na stromym skalistym brzegu. Jego trzonem jest wieża, na której zawiesza się poszczególne kondygnacje.

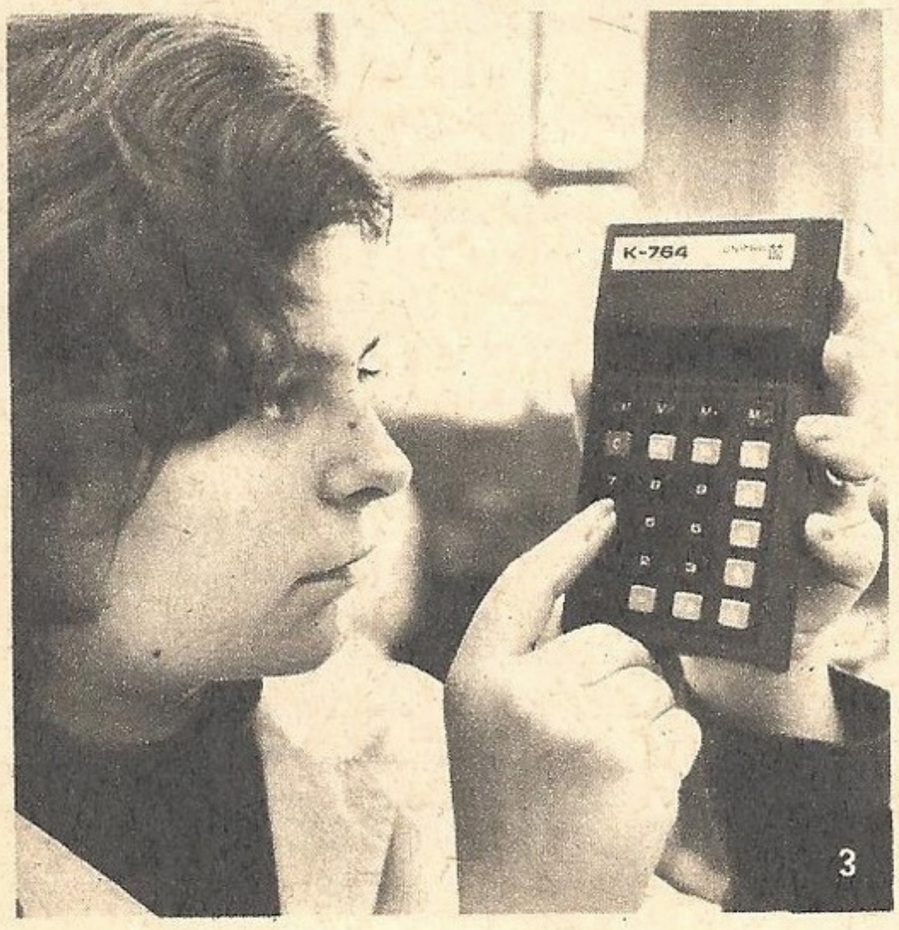

3

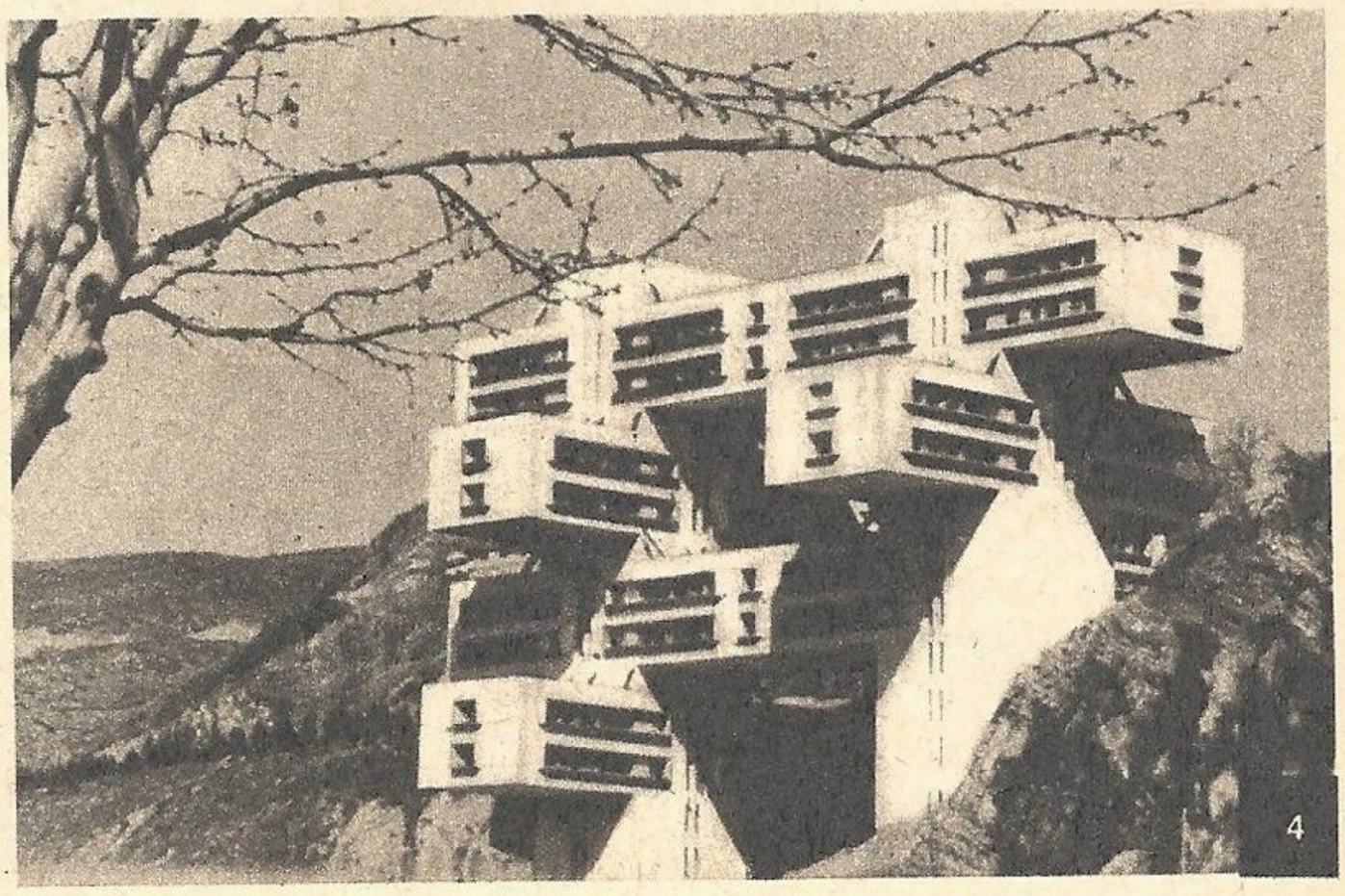
4

Przed harcerskim zjazdem. Od kilku już miesięcy trwają przygotowania do VI Zjazdu ZHP, który odbędzie się 27 i 28 marca w Warszawie. Około 1000 delegatów wybranych przez poszczególne chorągwie weźmie udział w obradach. Uczestniczyć w nich będzie również kilkuset przedstawicieli szkół średnich. W programie zjazdu – omówienie działalności harcerzy na najbliższe lata. Główną uwagę zwróci się zwłaszcza na naukę młodzieży i jej pracę dla kraju, swojego środowiska i najbliższego otoczenia. Organizatorzy zjazdu wychodzą z założenia, że obecność zastępu, drużyny czy też szczepu ZHP powinna być widoczna w każdej wsi i dzielnicy miejskiej.
W czasie obrad omówiona również zostanie rola harcerstwa w przyszłej 10-letniej szkole. Chodzi o to, aby ta organizacja (licząca ok. 3 milionów osób) brała żywy udział w kształtowaniu nowego szkolnictwa.

Najlepsze szkoły sportowe. W konkursie ogłoszonym w ub. roku przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania w dziale szkół podstawowych najlepiej spisali się młodzi sportowcy ze Szkoły nr 8 w Raciborzu i ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Brodnicy. Uczniowie z Raciborza wyróżniają się nie tylko w lekkiej atletyce i pływaniu, ale też pomagają w budowie wielu obiektów sportowych.
Młodzież z brodnickiej szkoły wspólnie z rodzicami urządziła bieżnie, boiska, korty tenisowe, a dziewczęta wygrały finał krajowego czwórboju i reprezentowały Polskę w Poznaniu w finale międzynarodowym.

Polscy specjaliści za granicą. Zapraszani są przez różne kraje jako doradcy techniczni, naukowi, jako projektanci. Jak podaje „Polservis" – przedsiębiorstwo handlu zagranicznego zajmujące się zawieraniem tego rodzaju umów – w 50 krajach pracuje obecnie ponad 1500 naszych specjalistów. Najwięcej w Libii, Iraku, Nigerii, Algierii, Kuwejcie i Maroku. Do ciekawszych umów należy opracowanie projektów budownictwa mieszkaniowego w Iraku na najbliższych 20 lat, zamówienie Libii na plan systemu kanalizacyjnego w Tripolisie oraz zamówienie Kuwejtu na budowę ujęć wody pitnej.

Książkowi milionerzy. W ostatnim 30-leciu na naszych półkach księgarskich ukazało się przeszło 12 tysięcy książek zagranicznych autorów w łącznym nakładzie ok. 300 mln egzemplarzy. Rekordy powodzenia pobił London, którego utwory wydano 104 razy w nakładzie ok. 4 mln egzemplarzy. 3-milionowe nakłady osiągnęły dzieła Gorkiego, przeszło 2-milionowe utwory Verne'a, Balzaka, Andersena, Conrada, Gajdara, Twaina, Hemingwaya, a nakład w granicach od 1 do 2 mln miały m. in. książki Tołstoja, Katajewa, Czechowa, Dickensa, Coopera, Stendhala.

MIGAWKI HARCERSKIE

Znakomity harcerski zespół „Gawęda" występował niedawno w 22 miastach USA i Kanady. Był to już 31 zagraniczny wyjazd zespołu. Jesienią tego roku, w ćwierćwiecze swego istnienia, „Gawęda" wystąpi z 5-tysięcznym w swojej działalności koncertem. **(Fot. 5)**

Już przeszło 35 mln złotych zebrali harcerze na budowę Centrum Zdrowia Dziecka. Pieniądze te uzyskali za różne prace, ze zbiórki złomu, makulatury, jak też z wielu imprez – kiermaszy, loterii, koncertów, przedstawień.

Uczniowie żyrardowskich szkół utworzyli Harcerskie Banki Usług, które organizują pomoc dla ludzi starszych, chorych i samotnych.

Uczniowie należący do Harcerskiego Klubu Przyjaźni w LO w Gorzowie co roku wybierają jakieś państwo i starają się poznać dokładnie tamtejsze życie kulturalne. Interesują się też działalnością ONZ, a w kwietniu urządzają zwykle „Tydzień UNESCO" kończący się „balem narodów", na którym młodzież przedstawia obyczaje z różnych krajów.

13 grudnia, w dzień Świętej Łucji, dziewczęta szwedzkie obchodzą swoje święto

W centralnej dzielnicy Sztokholmu

Edmund Niziurski

WŚRÓD SZWEDZKICH NASTOLATKÓW

Piątego dnia mojego pobytu w Sztokholmie pojechałem do odległej północno-zachodniej dzielnicy, zwanej Sundbyberg, aby zobaczyć dom młodzieży i nową szkołę, położoną w Hallonbergens Centrum. Nowe osiedla mieszkaniowe w Sztokholmie są tak zaplanowane, by każde z nich miało własne centrum. Znajdują się tam wszystkie najniezbędniejsze instytucje: szkoła, kluby, a także sklepy, bary i punkty usługowe. Do centr[illegible] prowadzi zwykle duża arteria komunikacyjna albo linia kolei podziemnej. Ze stacji metra wchodzi się od razu do wielkiego podziemnego ośrodka handlowego. Kto był w Warszawie na Dworcu Centralnym i przechodził do miasta podziemnymi pasażami wyposażonymi w liczne sklepy, ten może sobie łatwo wyobrazić, jak takie centrum handlowe wygląda. Na pewno jest bardzo wygodne dla ludzi wracających z pracy.

Do Hallonbergen jechałem nowo zbudowaną linią metra. Zwróciłem uwagę na ciekawe rysunki zdobiące ściany poszczególnych stacji metra. Okazało się, że wykonały je dzieci i mło-

Zbieranie ludowych makatek z wypisanymi na nich złotymi myślami i tradycyjnymi porzekadłami to hobby wielu szwedzkich nastolatków

dzież. Każda stacja ma inną oprawę plastyczną opartą na różnych motywach szwedzkich. Najbardziej podobała mi się stacja „lapońska".

Niestety, przy wyjściu na ścianach spotykamy także inne nie zaplanowane „malowidła" – rysunki i napisy. Widać i tutaj nie brakuje domorosłych „artystów" nie znoszących pustych ścian.

Na schodach stacji czeka na mnie i na moją przewodniczkę kierownik domu młodzieży pan Birger Hjern.

Raj dla hobbistów

Dom młodzieży znajduje się w centrum osiedla, tuż przy stacji; przechodzimy do niego bezpośrednio, bez potrzeby wydostawania się na powierzchnię. Wnętrze domu raczej skromne, jego globalna powierzchnia niewielka, ale wyposażony jest znakomicie w narzędzia, przybory i instalacje. Można tu zaspokoić niemal każde hobby. Grać na instrumencie, rzeźbić, malować, bawić się w garncarza i tkacza, wypalać w elektrycznych piecach ceramikę, konstruować różne modele, brać lekcje zarówno tańca, jak i dżudo (jest specjalna sala wyłożona matą), można także występować w teatrze (własna salka teatralna), robić kostiumy, a gdy się jest głodnym lub spragnionym, można posilić się w bufecie.

O tej porze w południe było tu jeszcze zupełnie pusto, więc postanowiłem skorzystać z okazji i zrobić garnek (pierwszy raz w życiu). Niestety, mimo że koło garncarskie kręciło się jak należy, mój garnek wyszedł podobny do „czerepa rubasznego", o jakim wspomina smutno Juliusz Słowacki. Nie zniechęciłem się tym jednak i postanowiłem z kolei spróbować gry na puzonie (wzorem Cymeona Maksymalnego), ale przerażony pan Birger zabrał mnie czym prędzej do innej sali i zaproponował, że zademonstruje mi sztukę dżudo. Okazało się jednak, że nie ma na kim zademonstrować, a ja osobiście nie kwapiłem się, więc przeszliśmy do sali teatralnej. Tu poczułem się bardziej na swoim gruncie.

Rodzinne muzykowanie

Dążenie do posiadania własnego stylu i fasonu cechuje nastolatków na całym świecie

Szkoła bez klas

Zaraz za domem młodzieży znajduje się szkoła. Budynek szkolny z zewnątrz też nie wygląda imponująco: niski, właściwie parterowy, ale jak się okazało, bardzo funkcjonalny – to znaczy możliwie najlepiej przystosowany do spełniania swoich zadań. Szwedzi w ogóle postawili na funkcjonalizm i podporządkowali mu swoją architekturę.

Szkoła składa się z dwóch oddzielnych budynków. W jednym mieszczą się klasy niższe oraz sale sportowe, w drugim klasy wyższe oraz różne pracownie i warsztaty. Nie ma jednej dużej sali gimnastycznej jak u nas, jest natomiast cały zespół specjalnych sal i pomieszczeń: do siatkówki, do koszykówki, do skoków, do podnoszenia ciężarów; jest tu też studwudziestometrowa kryta bieżnia. Doskonale zaopatrzone są specjalistyczne pracownie. Szczególnie imponująco wyglądają warsztaty do zajęć technicznych, wyposażone w różne obrabiarki, frezarki, szlifierki i inne maszyny. Szwedzi przykładają wielką wagę do wychowania technicznego młodzieży już w szkole podstawowej, a także do nauki z zajęć z zakresu prowadzenia gospodarstwa domowego. Pierwszą pracownią, jaką oglądamy, jest właśnie kuchnia. Dziewczynki i chłopcy uczą się (bez żadnej różnicy) przygotowywać posiłki.

– Z pewnością przyjemniej jest jeść niż gotować? – pytam.

– Nie, gotowanie to nic strasznego – odpowiadają.

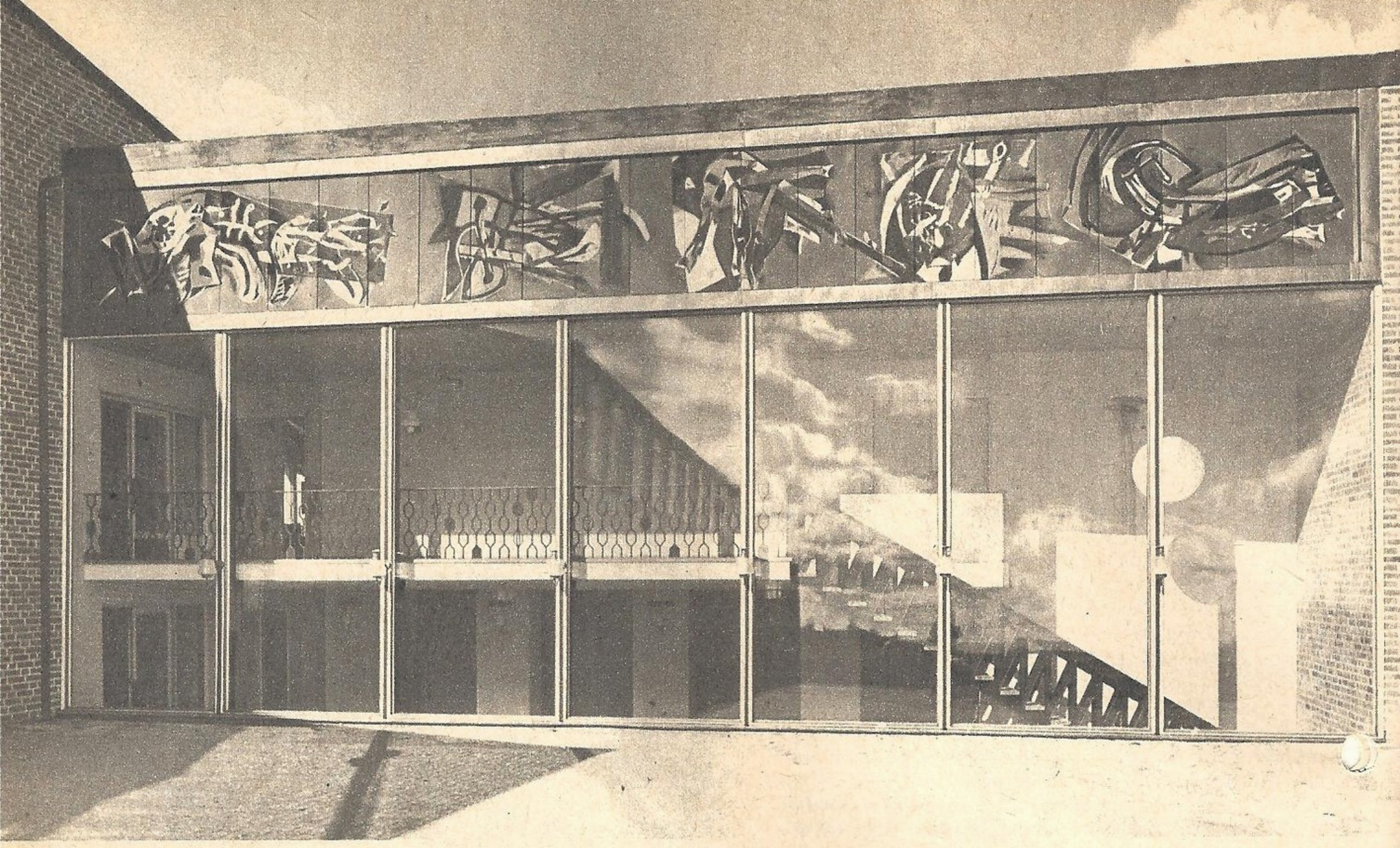

Szkolny budynek z zewnątrz zdobią abstrakcyjne rysunki

– Najtrudniejsza jest teoria, wkuwanie tych wszystkich składników pokarmowych: witaminy, sole mineralne, białka, węglowodany...

Gdy pierwsze onieśmielenie minęło, wymieniamy nawzajem doświadczenia kulinarne, ponieważ ja też lubię być i bywam czasem kucharzem. Wizyta kończy się oczywiście na degustacji potraw.

Obficie nakarmiony, szczęśliwie wydostaję się na korytarz.

– Może teraz do jakiejś normalnej klasy – proponuję.

Okazuje się jednak, że nie ma „normalnej" klasy, to znaczy pomieszczenia w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Lekcje odbywają się albo w pracowniach, albo... tych paru przedmiotów, które nie wymagają specjalistycznych pracowni, młodzież uczy się w „klasach bez ścian". Po prostu w środku budynku znajduje się duże, puste miejsce, gdzie stoją stoliki i krzesła, zgrupowane jakby w czterech oddzielnych kompletach – to właśnie są klasy. Jedną od drugiej oddziela tylko powietrze, od tyłu odgrodzone są wysokimi, półtorametrowymi rzędami szafek. Każdy uczeń ma swoją numerowaną i zamykaną na klucz szufladę, w której trzyma przybory szkolne i książki.

– Czy nie przeszkadzają sobie wzajemnie takie uczące się jednocześnie cztery klasy na zasadzie „otwartej kawiarni"?

– No, trzeba być cicho...

– Ale nauka języków?

– Języków uczymy się w osobnych pracowniach.

Obejrzałem pracownie. Są wyposażone w specjalną, elektroniczną aparaturę. To już nie klasa, to maszyna do uczenia.

Nauka bez stopni

W Szwecji jest dziewięcioklasowa szkoła podstawowa. Pierwsze trzy klasy stanowią tak zwany kurs elementarny, następne cztery – kurs średni, a ostatnie dwie – kurs wyższy.

– Jak ocenia się wyniki uczniów? – pytam.

Okazuje się, że w tutejszych szkołach stopnie stawia się rzadko i nie są tak ważne jak u nas. W I i II klasie podstawowej w ogóle nie ma stopni. Dopiero w klasie trzeciej na koniec roku szkolnego dziecko otrzymuje oceny, bo jest to zarazem koniec pierwszego kursu nauczania. Następnie w klasie czwartej i piątej znów nie wystawia się stopni (mają niezłą labę – myślę), dopiero w klasie szóstej, która kończy z kolei drugi, tak zwany średni kurs nauczania, oraz w klasie siódmej spotyka młodzież ta przyjemność. Natomiast w klasie ósmej i dziewiątej stopnie otrzymuje się dwa razy w roku, na koniec pierwszego i drugiego półrocza szkolnego.

Są projekty, żeby w ogóle zlikwidować stopnie.

– A jakie jest wasze zdanie? – pytam uczniów.

Zdania są podzielone. Niektórym żal jest stopni. W końcu otrzymanie piątki to była jakaś przyjemność, czasem nawet duża. Inni natomiast twardo obstają przy zdaniu, że uczyć powinno się nie dla stopni, że „jak są stopnie, to jest i niesprawiedliwość", bo „nikt dokładnie nie potrafi wysondować, co naprawdę umiem", i że „stopnie psują stosunki między młodzieżą".

Całkowite zlikwidowanie stopni to dopiero projekt na przyszłość. Na razie jednak stopnie istnieją. Nie stawia się ich tak często jak w Polsce, ale są. Zaciekawiony pytam o skalę ocen.

Okazuje się, że jest podobna do naszej, z tym, że poniżej dwójki występuje jedynka, czyli pała.

Zaintrygowany pałami, pytam dalej:

– Co się dzieje, gdy uczeń dostanie na świadectwo pałę, albo, nie daj Boże, dwie albo trzy pały?

– Źle się dzieje – mówią.

– Zimuje w tej samej klasie? (A wiadomo, że w Szwecji zima trwa długo!)

– Nie, skądże, u nas nikt nie zostaje!

– Przechodzi nawet z tymi... tymi pałami?! – wykrzykuję zdziwiony.

– Nawet.

– No, to do czego służą złe stopnie?!

Okazuje się, że w tym dziwnym kraju złe stopnie są tylko sygnałem alarmowym dla rodziców i uczniów; oznaczają, że pechowy uczeń ma braki w stosunku do programu. To coś

takiego jak czerwone światło, które zapala się na desce rozdzielczej samochodu, gdy poziom benzyny jest za niski.

Kiedyś dawno temu w Szwecji rygor w szkołach był bardzo surowy. Stosowano również kary cielesne. Można wtedy było zimować dwu- i trzykrotnie w tej samej klasie, ale stopniowo obyczaje łagodniały. Obecnie Szwedzi doszli do wniosku, że powtarzanie tej samej klasy przez „bęcwała" nic nie daje, a raczej szkodzi, i to zarówno uczniowi, jak i klasie, w której taki drugoroczny się zagnieździ.

– No, to u was prawdziwy raj dla urodzonych w niedzielę szlachetnych obiboków i leniuchów – mówię i wzdycham.

– Niezupełny raj – odpowiadają. – Kto nie robi postępów, nie zostaje wprawdzie na drugi rok w tej samej klasie, ale musi chodzić na dodatkowe lekcje wyrównawcze. A kto to lubi? – krzywią się.

– A jak takie lekcje nie pomogą? – przyciskam.

– Wtedy idzie do szkoły specjalnej – odpowiadają ponuro – do szkoły dla trudnych i niedorozwiniętych.

Po ich minach widzę, że do takiej ostateczności bardzo rzadko dochodzi.

– Czy macie kodeks ucznia? – pytam, a ponieważ nie bardzo wiedzą, co to znaczy, opowiadam trochę o życiu naszej szkoły.

Nie, nie mają takiego kodeksu, dowiaduję się jednak w końcu, że mają zagwarantowane przez przepisy prawo głosu w różnych dziedzinach życia szkolnego. Zasadniczym organem uczniowskim jest rada klasowa, przez którą mogą wpływać na ważne sprawy dotyczące ich osobiście. Młodzież uczestniczy także w komitetach mieszanych, w skład których wchodzą: dyrektor szkoły, nauczyciele, personel pomocniczy oraz rodzice. Komitety te zajmują się organizacją pracy w szkole, porządkiem, sprawami środowiska itd. I wreszcie przedstawiciele uczniów biorą udział w niektórych konferencjach szkolnych.

*

Czas spotkania mija. Jeszcze tylko pytanie o wakacje. Akcja kolonii letnich w tak szerokiej skali jak u nas nie istnieje. Do organizacji skautów należy drobny odsetek młodzieży. Przeważnie spędza się wakacje z rodzicami. Sam okres ferii pokrywa się z grubsza z naszym.

Żegnam się. Do jutra. Umawiamy się bowiem, że w sobotę, która w Szwecji jest dniem wolnym od pracy, spotykamy się na Djugårdsslatten. Pokażą mi skansen. Akurat będzie wystawa psów. Niektórzy wybierają się tam z własnymi psami. A potem obejrzymy w pobliżu sławny okręt wojenny z XVII wieku „Waza". Przeleżał na dnie morza trzysta pięćdziesiąt lat i zachował się w dobrym stanie ze wszystkim prawie, co znajdowało się na nim... ze szkieletami marynarzy. Wydobyto go niedawno i zakonserwowano, stanowi wielką atrakcję dla turystów. Zwiedzimy także obok specjalną wystawę poświęconą królowi Zygmuntowi III Wazie – temu samemu, którego posąg na kolumnie wznosi się na Placu Zamkowym w Warszawie, a który był królem Polski i Szwecji.

Edmund Niziurski

Szwedzka specjalność narodowa – bieg narciarski rozgrywany corocznie 7 III na trasie 85,8 km zwany Biegiem Wazów. Jest to wielka impreza sportowa, w której uczestniczy co roku 10 000 zawodników nie tylko ze Szwecji, ale i z innych krajów

Wydobyty z dna morza szwedzki okręt wojenny „Waza"

w co się ubrać?

Stare polskie przysłowie powiada, że nie suknia zdobi człowieka, lecz człowiek suknię. Nie chodzi tu oczywiście o urodę fizyczną, chociaż na ogół jest ona zawsze mile widziana, lecz o cechy innego rodzaju i pochodzenia: piękno wewnętrzne, sylwetkę moralną. Przysłowie to rzeczywiście jest wiekowe, ponieważ sięga siedemnastego stulecia, a więc okresu, który zapisał się w naszej historii szaloną rozrzutnością i niesłychanym zbytkiem. Sadzono się na wystawność i przepych w ubraniach i w mieszkaniach, w stylu życia i w nie kończących się biesiadach, w nadużywaniu klejnotów i biżuterii, noszonej zarówno przez mężczyzn, jak i przez niewiasty. Z tego właśnie okresu wywodzi się też przysłowie, stanowiące niewątpliwie prawzór przytoczonego wyżej: „Szata świetna nie ozdobi złego, a podła nie oszpeci dobrego".

Z pewnością tak jest, tylko że nie od razu widać, kto dobry, a kto zły, natomiast szata rzuca się w oczy natychmiast. A że przysłowia są mądrością narodów, więc sto lat wcześniej – w pierwszej ćwierci szesnastego wieku Biernat z Lublina napisał: „Takie czcienie, jakie odzienie", co z kolei dało początek nowocześniejszemu już stwierdzeniu, że „Suknia człowiekiem czyni", a to z kolei otwiera optymistyczną perspektywę przed zawodem krawieckim, drogą zaś analogii dla wszystkich rzemiosł, dbających o wygląd człowieka. Tym oto sposobem uhonorowane zostały i godne pielęgnowania cnoty i dbałość o powierzchowność, zgodnie z praktyczną zasadą, „jak cię widzą, tak cię piszą".

Moda paryska z pierwszej połowy XIX wie

Między elegancją a modą

Najtrudniejszym zadaniem jest znalezienie złotego środka między elegancją a modą. Ubierać się bowiem modnie, nie znaczy wcale ubierać się elegancko. Między krzykliwą na ogół modą a spokojną elegancją otwiera się luka, którą trzeba wypełnić indywidualnym gustem, a to jest najtrudniejsze.

Czym właściwie jest elegancja? W ubiegłowiecznym podręczniku dobrego tonu spotykamy określenie, które elegancję łączy z wytwornością manier i gestów, powiada, że jest to połączenie wdzięku, szlachetności i dobrego smaku, nabytego przez odpowiednie wychowanie. Mimo upływu lat określenie to wcale tak bardzo się nie zestarzało. Elegancja jest przede wszystkim sprawą nienagannych manier i dobrego gustu, a ten z kolei wymaga dużego wyrobienia i krytycznego stosunku do samego siebie. Dobry smak jest na ogół przejawem osobistej kultury, znajomości elementarnych założeń estetyki, a jego sprawdzianem jest umiejętność zastosowania do siebie ogólnych tendencji mody. Najważniejszą cechą elegancji jest jej subiektywny charakter, podczas gdy moda składa tylko obiektywne propozycje. Sztuka polega na takim ich wyborze i takim ich zharmonizowaniu z naszą sylwetką, żeby ogólny wygląd nie raził, dobór kolorów nie był przejaskrawiony, model sukni lub ubrania przesadny, chociaż modny. Ktoś powiedział, że elegancja polega na podążaniu za ostatnimi nakazami mody, z małym opóźnieniem, niby jeden krok za nimi. Ubranie zbyt modne jest równie nieeleganckie jak zupełnie niemodne. Natomiast jedną z tajemnic elegancji jest prostota. Tylko że wbrew pozorom nie jest ona łatwa do osiągnięcia.

Jednym z charakterystycznych przykładów indywidualnej elegancji jest fragment listu Juliusza Słowackiego do matki, pisanego z Paryża na wiosnę roku 1842. Poeta w takich oto słowach malował swoją sylwetkę dbającego o elegancki wygląd mężczyzny:

„Teraz wiedz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancją – jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, aby mnie zwykłe memu zajęciu zaniedbanie nie owładnęło... Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, co mi oszczędza niepotrzebnych wydatków – najczęściej chodzę czarno, z małymi wyjątkami w szarawarach lub kamizelce – nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą...

Mam także jedną oryginalność, to jest, że zawsze noszę żółtawo blade białe rękawiczki – jest to mój luks, a nie bardzo kosztowny, bo cały czysto chodząc nigdy ich prędko nie brudzę. Noszę także najczęściej lakierowane buty – co nie jest żadnym luksem wcale... Zawsze tak staram się być ubrany, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie – a nigdy tak, żeby widziano, żem się wystroił umyślnie..."

Wszechwładna moda

Czym właściwie jest moda, o której nieustannie tyle się słyszy i czyta, słowo wplatane do spraw z różnych dziedzin – nie tylko przecież związanych ze strojami, chociaż z nimi przede wszystkim. W tej wszechobecności mody nie ma nic dziwnego, ponieważ w istocie panuje ona nad wieloma strefami ludzkiej działalności: polityka i filozofia, sztuka i architektura, religia i gastronomia, zwyczaje towarzyskie i sposób urządzania wnętrz, strzyżenie głów i strzyżenie trawników – wszystkimi czy innymi drogami wiąże się z modą. Trudno byłoby znaleźć taki zakres ludzkiego działania, które byłoby całkowicie zabezpieczone przed jej wpływami. Nikogo z pewnością nie zaskoczy spotkanie z nią w wytwornym salonie, lecz jej obecność może zadziwić np. na filozoficznym odczycie. Sęk w tym, że kapryśność i nieobliczalność należą do jej głównych cech. Może właśnie dlatego stanowi królestwo kobiet, choć i mężczyźni zawsze ulegali i ulegają jej woli.

Z jej nakazu mdlały i spazmowały żony modne, z jej woli panie i panowie z najwytworniejszych kręgów artystokratycznego świata przebierali się raptem za naiwne pastereczki i ubogich pastuszków i urządzali wykwintne przyjęcia w niepozornie na oko wyglądających chatkach porozrzucanych na tle wspaniałych ogrodów w Petit Trianon u Marii Antoniny, w parku powązkowskim u Izabelli Czartoryskiej, w Arkadii u Heleny Radziwiłłowej.

W osiemnastowiecznej Warszawie Stanisława Augusta zapanowała moda angielska. Uczono się języka angielskiego – pisze kronikarz tamtych czasów Antoni Magier – „już dla osobliwości, już dla nowości, już dla odróżnienia się od mowy francuskiej, która zdawała się tak pospolita, że i lokaje rozumieli wszystko, o czym państwo rozmawiało, bo po dworach pełno było Francuzów, których panowie, wracając z zagranicy z sobą sprowadzali jako to: kamerdynerów, kuchmistrzów, lokai, nawet i stangretów".

Zmieniano meble na angielskie, zmieniano obicia w mieszkaniach na angielskie, zmieniano pojazdy, uprzęże... Fabrykant Tomasz Dangel, który uczył się „siodlarskiej roboty" w Londynie i założył w Warszawie manufakturę powozów, nie mógł się od klientów opędzić; uprawiano jazdę konną, ale koniecznie w ujeżdżalni Arenta, koniuszego posła angielskiego Whitworta, w ubiorach obowiązywały także modele angielskie. Wszystko musiało być raptem na modłę Albionu. Obyczajem angielskim na wyścigach konnych czyniono duże zakłady, czyj faworyt pierwszy przybiegnie do mety. Była to ulubiona rozrywka najwytworniejszego towarzystwa warszawskiego. Sam król jegomość raczył się tym interesować.

W stajniach – oczywiście należycie wysprzątanych – panowie wydawali śniadania dla przyjaciół, złożone z rostbeefu, beefsteaków, budyniu, a także trunków: araku, rumu, piwa angielskiego i porteru.

Wiele też można by dawać przykładów na wkraczanie mody w dziedzinę gastronomii. Wszystkie te zrazy à la Nelson, boeuf à la Strogonow, sos Cumberland, sos à la Soubise należą do tego repertuaru. Może więc warto wspomnieć oryginalną i mało znaną modę spożywania jajek na twardo, co należało do dobrego tonu w Warszawie czasów oświecenia. Jajko na twardo podawano na podwieczorek, a nawet noszono je przy sobie – w kieszeniach. W momencie przypływu głodu ten i ów wyjmował je z kieszeni, prosił tylko o sól i pieprz na talerzu dla zaprawy i spożywał jajko „po furmańsku". Moda przeszła i razem z nią zniknął nienasycony apetyt na jajka „po furmańsku".

Lecz w czasach oświecenia zapanowała też inna moda o istotnie ważnym znaczeniu dla rozwoju kultury: moda na Orient. Kolekcjonerstwo przedmiotów pochodzących ze Wschodu stało się niemal że powszechną namiętnością. Nie było większego dworu czy pałacu bez jakiejś wschodniej czy egzotycznej kolekcji, nawet pomniejsze dwory naśladowały orientalną pasję magnatów. W Natolinie gromadzono m. in. pudełka papierowe z Chin, imbryki do kawy, pędzelki chińskie, brązowe lampy wiszące i figurki chińskie, w Szymanowie księżna Sanguszkowa pokazywała gabinet wschodnich osobliwości, w Arkadii można było zobaczyć chińskie fotele, chińskie pantofle srebrem haftowane i sandały ze „szczęśliwej wyspy Tahiti", pamiątki egipskie i inne. Kolekcjonowano wschodnie numizmaty, rękopisy, rzeźby, obrazy...

Czymże więc jest moda? Ktoś powiedział, że jest tym, co przechodzi, ponieważ charakteryzuje ją zmienność, przelotność, niestałość... Czy należy jej być posłusznym? Markiza du Châtelet, przyjaciółka Voltaire'a, mawiała, że kobiety bez znaczenia stosują się do mody, zarozumiałe i pretensjonalne poddają się jej ekstrawagancjom, natomiast kobiety wytworne wdają się z nią w kompromisy. Piosenka z roku 1722 głosiła, że wprowadza ją wariat, a ulega jej mądry.

Moda toczy nieustanną walkę z tradycją i wywodzącym się z niej zwyczajem.

Trudno bywa modzie zatriumfować nad zwyczajem, czasami jednak przychodzi to całkiem łatwo i zdarza się w sposób niespodziewany... Tak było z nastaniem mody noszenia zaprasowanych w kant spodni.

Obraz J.L. Dawida (1748–1825) przedstawiający młodzieńca ubranego według mody angielskiej

Otóż pewnego razu uważany za „arbitra elegancji" przyszły król angielski Edward VII bawił w Karlsbadzie i spacerując kiedyś po tym kurorcie, rozdarł sobie o pręt spodnie. Nie mogąc kontynuować przechadzki w tak uszkodzonej garderobie, wstąpił do najbliższego sklepu i kupił sobie gotowe spodnie. Sprzedawca wyciągnął je spod dużego stosu, niestety, nosiły ślady zagnieceń biegnących z przodu i z tyłu każdej nogawki. Wracając do swego hotelu, książę Walii spotkał oczywiście wiele osób, które, zauważywszy, że arbiter elegancji nosi na nowy sposób prasowane spodnie, uznały to za obowiązującą modę. Nazajutrz rano wszyscy panowie ukazali się na ulicach Karlsbadu w spodniach zaprasowanych w kant. Tak więc moda stała się nowym zwyczajem.

Koronowane głowy nierzadko ją narzucały. Król francuski Henryk II miał na karku szkaradną bliznę, a pragnąc ją ukryć, zaczął nosić wysokie kołnierze. Moda ta natychmiast znalazła naśladowców. Cesarzowa Eugenia, żona Napoleona III, słynna piękność, gdy była w odmiennym stanie, chcąc zatuszować zmianę figury wpadła na pomysł noszenia krynoliny. W Warszawie na przełomie XVIII i XIX wieku panie zaczęły nosić na szyi tzw. aksamitki, czyli wąskie paski z czarnego przeważnie aksamitu. Można je było zauważyć u starszych pań jeszcze w latach dwudziestych naszego wieku. Rodowód aksamitki wywodził się od królowej pruskiej Luizy, która po trzecim rozbiorze Polski wraz ze swym mężem Fryderykiem Wilhelmem III odwiedzała Warszawę i „damom polskim przekazała modę noszenia obróżki na szyi" – jak pisał historyk tamtych czasów Juliusz Falkowski. Miała ona na szyi szpecące ją znamię, starannie zasłaniane aksamitką. Warszawskie damy zrobiły z tego modę, która przetrwała długo.

Kobiety w walce o spodnie

Noszenie aksamitki było modą, która przeszła, zaprasowanie spodni było modą, która ciągle jeszcze trwa i można już nazwać ją zwyczajem. Same zaś spodnie, jako część ubioru męskiego, mają tradycje tak stare, że trudno właściwie ustalić, czy i kiedy były sprawą mody.

Nosili je w czasach starożytnych Persowie, Scytowie, Celtowie, nosiły półlegendarne Amazonki, Sarmaci mieli je przejąć od Scytów, a rzymscy żołnierze ujrzeli je u Galów i jak twierdzą niektórzy historycy – sami zaczęli się w nie ubierać, ponieważ dobrze chroniły przed zimnem, a że sięgały tylko za kolana, więc nie krępowały ruchów. Tak było u mężczyzn. Natomiast noszenie spodni przez panie stało się modą już w naszych czasach, a wielu z nas prawdopodobnie nawet nie podejrzewa, ile w tym męskim ubiorze noszonym dziś przez panie kryje się ciężkich zmagań, żarliwych walk o równouprawnienie i ile symboliki. Nie o modę bowiem walczyły od długich dziesiątków lat niewiasty, nie o samo tylko prawo noszenia spodni, lecz o coś znacznie ważniejszego.

Ukazywały się wprawdzie kobiety w bardzo obcisłych spodniach na ulicach rewolucyjnego Paryża u schyłku XVIII wieku, lecz nie wywarło to nigdzie większego wpływu na damską modę.

Walka o prawo chodzenia w spodniach publicznie, o prawo używania ich zamiast spódnicy albo na równi z nią rozpoczęła się w latach czterdziestych ubiegłego stulecia w Stanach Zjednoczonych. Amalia Bloomer z Ohio, żona adwokata amerykańskiego, jedna z pierwszych emancypantek na świecie, postanowiła ubrać kobiety w spodnie. Były to jednak wyjątkowo brzydkie pantalony, ściągane przy kostce, nazywane żartobliwie „bloomerkami" i stanowiące nie kończący się temat raczej dla karykaturzystów i satyryków niż model dla krawców.

Niemniej jednak ziarno zostało posiane i od tego czasu idea zamiany spódnicy na spodnie staje się niezwykle popularna jako jedno z haseł ruchu sufrażystek (anglosaskich kobiet walczących o równouprawnienie).

Rysunek satyryczny z XIX wieku piętnujący noszenie krynolin

Kosmeo - znaczy:

Greckie słowo „kosmein" znaczy – upiększać. Zanim jeszcze jednak ojciec naszej medycyny Hipokrates pięć wieków przed naszą erą wynalazł maść upiększającą, sporządzoną z wątroby jaszczurek, oliwy i wina, zanim greccy aptekarze zaczęli swoim klientkom i klientom polecać wonne olejki i różne specyfiki, Egipcjanie sztukę, a może raczej wiedzę kosmetyczną doprowadzali już do perfekcji. Odnaleziony w Luksorze papirus z 1500 roku p.n.e. poucza, jak ustrzec się siwizny, jak skórę uczynić gładszą, jak usunąć zmarszczki.

Młode Egipcjanki malowały wargi na kolor pomarańczowy, czerniły rzęsy i brwi, złotym lakierem barwiły powieki, a różowym pociągały paznokcie u rąk i nóg. Ze ścian grobowców spojrzały na śmiertelników, którzy odważyli się zburzyć ich dostojny spokój, płaskorzeźby, wyobrażające toalety egipskich wytwornych dam. Wierzono też, że środki upiększające przydać się mogą również i po śmierci. Dlatego Egipcjanka otrzymywała na swoją ostatnią podróż aż siedem rodzajów wonnych olejków i dwa rodzaje szminki.

Różne wonności bardzo były rozpowszechnione. W okresie upałów należało nacierać się maścią zrobioną na terpentynie z żywicy, zmieszaną z nie zidentyfikowanymi nasionami oraz pachnidłami. Egipskie nosy lubowały się w wonnych zapachach, a zanim Paryż sięgnął po berło króla w świecie perfum, w Aleksandrii Ptolemeuszy kwitł przemysł perfumeryjny, słynny na cały ówczesny świat. Poczynając od lusterek, a kończąc na depilacyjnych pincetach – cały komplet instrumentów, stanowiących wyposażenie wytwornej damskiej gotowalni znajdujemy już w starożytnym Egipcie.

Również w starożytnym Rzymie wiele czasu traciły elegantki na kosmetyczne zabiegi. Wonne kąpiele, kąpiele w mleku oślic, doskonale regenerujące skórę, maści przeróżne, którymi nacierano ciało, a wreszcie olejki rozsiewające aromatyczne wonie... Warstwa szminki i pudru na policzkach była makijażem dziennym, lecz noc nie zwalniała z obowiązku dbałości o urodę. Kładło się na twarz maskę chlebową, zmywaną następnie mlekiem. Kompozycja tej maski otoczona była najgłębszą tajemnicą. Rzymskie damy używały kosmetyków o delikatnym zapachu, utrwalonym aromatycznymi winami, panowie natomiast gustowali w woniach ostrych. Całe zaś wytworne towarzystwo bywało oburzone i niepocieszone zarazem, gdy niektórzy cesarze wydawali zarządzenia wstrzymujące lub ograniczające przywóz kosztownych surowców nadmiernie obciążających budżet. Ich decyzje po wielu wiekach powtórzą monarchowie europejscy.

Historycy nie zaliczają średniowiecza do epok, w których dbałość o urodę i pielęgnacja ciała zapisałyby się w sposób szczególny. Asceza wykluczała nawet wodę, uważając wszelkie zabiegi, choćby tylko higieniczne, mające za przedmiot doczesną powłokę, za rzecz zbędną, a środki upiększające ją za wymysł szatański. Ponieważ jednak udręczanie się ascezą nie było powszechną praktyką, znaczna część ludności nie brała na szczęście całkowitego rozbratu z wodą.

Miejscem, gdzie dokonywano jakich takich starań o wygląd i higienę, były łaźnie. Tam po wypoceniu się w parówce lub po wymyciu się w kąpieli stosowano sieczenie ciała wienikiem, czyli miotełką z gałązek brzozowych z liśćmi, aby lepiej się pory otwierały. Był to zabieg bardzo szeroko stosowany i bardzo prymitywny zarazem. Celem zachowania delikatnej cery nacierano się jajami wymieszanymi z miodem lipcowym.

Do kąpieli dodawano kwiaty.

W użyciu były też mydła: aptekarskie, barskie, greckie i weneckie. Nacierano się wódkami różnych rodzajów: anyżową, rumiankową, różaną, fiołkową – wielka była ich obfitość. Do mycia twarzy niezastąpiona była pierwsza deszczówka i tę najwyżej sobie ceniono, chociaż wodę z marcowego śniegu uważano za nad wyraz skuteczną.

Były to więc środki proste, mało przypominające wyrafinowane zabiegi starożytnych niewiast.

Następna epoka – odrodzenie – przyniosła wiele nowych pomysłów kosmetycznych.

Godna podziwu była pomysłowość rozwijana w tej dziedzinie. Mleczna pasta chlebowa, żelatyna, zioła, srebro rozpuszczone w winie, drzewo sandałowe, ocet, ałun, miód, olej, migdały, sośnina, ziarenka melona i dyni – takie oto były składniki, z których fabrykowano wymyślne miszkulancje, nadające cerze gładkość i korzystny wygląd, likwidujące piegi, zapobiegające łysinie...

Komu środki materialne nie pozwalały na zaopatrywanie się w kosmetyki wyszukane i drogie, poprzestawał na wonnych olejkach i mydełkach, którymi handlowali wędrowni olejkarze, polecający oprócz środków upiększających także lekarstwa na wszystko. Jedno i drugie było dosyć podejrzanej jakości i często prowadziło do godnych pożałowania efektów. Uciekano się także do guseł, zamawiań, czarów. Świńskie albo kobyle mleko, woda zbierana podczas burzy, odwary – oto bogaty arsenał kosmetycznych środków.

Alabastrowa białość cery była przez jakiś czas celem rozlicznych a usilnych zabiegów kobiet renesansu. Śniadość a także – opalenizna były wyklęte przez elegantki. Słońca można było ostatecznie unikać i damy z wyższych sfer uciekały przed nim. Lecz jeżeli ktoś został przez matkę-naturę obdarzony śniadą cerą? Prawdziwe nieszczęście! Czuć by się mogła taka dziewczyna lub białogłowa wręcz upośledzona, gdyby nie błogosławiony wynalazek bielidła.

Moda na bladość przyszła do nas z zachodu i stamtąd przywędrowało bielidło, a następnie puder. Elegantki angielskie, francuskie, niemieckie hojnie tym kosmetykiem szafowały, używając go na twarz, a także bieląc sobie szyję, ramiona i plecy.

Długo utrzymywało się bielidło na damskich gotowalniach. Wspomina się je przy końcu XVI wieku, a jeszcze w wieku XVIII wymienia bielidło Ignacy Krasicki jako niezmiennie utrzymujący się w modzie kosmetyk. Co prawda, niektóre elegantki mogły szybko zauważyć, iż pod wpływem bielidła ich policzki nabierają żółtawego koloru i stają się dziwnie szorstkie. Bielidło wyrabiano często w domu z korzeni żmijowca, blejwajsu i różanej wódki. W końcu zbrzydziły sobie elegantki ten rzekomo upiększający środek. W wyniku tego zaczęto uznawać naturalną cerę za możliwą do pokazania. A kto uważał to za niewybaczalne prostactwo, mógł szukać ratunku w nowym rodzaju kosmetyku. W modę bowiem wchodził puder.

UPIĘKSZAM...

Wynalazł go Włoch Pietro Capranica i zrobił na tym wynalazku doskonały interes. Kobiety w całej Europie sypały na siebie bez miary ten biały proszek na głowę, na ramiona, na plecy. Cały świat rokoka chodził niby śniegiem przyprószony. W gotowalniach zaś pojawił się nowy, ważny instrument – łabędzik, czyli kulka z puchu łabędziowego. Kosztował 200 tynfów, a każda dama miała ich kilka, zależnie od ilości kolorów pudru. Ponieważ pudrem posypywali się też panowie, więc znany wytworniś, marszałek nadworny koronny Stanisław Kostka Rzewuski, specjalnie dla najjaśniejszego pana – króla Stanisława Augusta – wymyślił metodę doskonałego pudrowania: w przylegającej do garderoby królewskiej komórce hajducy wytrząsali puder z wielkich worów, a gdy w całej komorze kłębiły się już chmury białego proszku, wkraczał tam na chwil parę król jegomość, aby wyjść doskonale wybielony.

Puder nie należał do tanich kosmetyków. W Warszawie płacono za niego w połowie XVIII wieku od 400 do 700 tynfów. Niestety, jednak wynalazek signora Capraniki miał jedną ogromną wadę: lepił się. A że woda nader rzadko była używana, więc w tej pudrowanej mące poklejonej z brudem w zastraszającym tempie lęgły się insekty nader przykre we współżyciu. Dlatego najdostojniejsze osobistości wśród przedmiotów codziennego użytku, i to należących do kategorii pierwszej potrzeby, nosiły narzędzia służące do ich zabijania: grabki i młoteczki. Bywały wśród nich dzieła sztuki jubilerskiej. Cóż było jednak robić, skoro sam król Francji Ludwik XV raczej pachnących wódek używał przy porannej toalecie niż czystej wody. A Wersal był przecież wzorem wytwornego życia.

Na szczęście Capranica-syn wpadł na szczęśliwy pomysł i wyprodukował mieszaninę kosmetyczną z mąki ryżowej, która się nie kleiła. Nie znaczy to jednak wcale, że insekty zostały wytrzebione.

Różne były kolory pudrowej mączki: białoróżowa, agatowa, chamois, do stroju żałobnego obowiązywał kolor czarny.

Gdy bladość lic wyszła z mody, zaczęto stosować kosmetyki nadające twarzy rumieńców.

Środki te dawały nienaturalne rumieńce, natomiast błękitnidło miało tylko lepiej uwidaczniać sieć delikatnych żyłek przy oczach i na skroniach. Czernidło wzmacniało kolor brwi i rzęs. Nacierano się też przypalonym migdałem.

Malowały się nie tylko kobiety. Różnych barwiczek używali też wytworni panowie, którzy lubili też zlewać się pachnidłami. Książę Adam K. Czartoryski kazał sobie przysyłać orientalne kosmetyki aż w sześciu rodzajach: czarną farbę na oczy, z aloesu na rzęsy, na włosy, na paznokcie, na twarz i na brodę.

Godna pochwały była dbałość o higienę jamy ustnej. Cytwar i imbir służyły do „nadania miłego ustom odoru", a nieskazitelna biel zębów miała duże znaczenie dla pań lubiących śmiać się często i szeroko. By biel zaś taką osiągnąć, należało rozpalony pumeks gasić dwa razy w winie, a za trzecim razem poczekać, aż ostygnie, utrzeć go wtedy dobrze na proszek, który sprawi, że zęby będą jak perły.

Oprócz bielideł, barwiczek, pudrów, ziół i wszelkiego rodzaju sporządzanych z nich preparatów należało – z nakazu mody – stosować środki upiększające dość specjalnego rodzaju. Gdy modne stały się czoła wysokie – elegantki wyrywały sobie włosy i bezlitośnie „targały brwi z wielką boleścią". A do zabiegów kosmetycznych wymagających już nie tylko cierpliwości, lecz także fantazji, należało „muszczkowanie".

Modna pani siada więc przed swoją gotowalnią, nakrytą białym muślinem zakończonym u dołu falbaną. Powierzchnia gotowalni składa się z trzech części, w środkowej widnieje zwierciadło, po prawej stronie garnitur flakonów i porcelanowych słoików, po lewej szczotki i kryształowe miseczki. Pani rozpoczyna w skupieniu skomplikowany ceremoniał lepienia muszek, mających bardziej jeszcze uwydatnić nieskazitelną białość jej cery, żeby było tak, jak pisał poeta, że „winny być białej płci szeregi, tak świeże jak lilii śniegi". Zarówno kształt, jak i miejsce przylepienia muszki nie mogło być przypadkowe, był to bowiem rodzaj szyfru, informujący o upodobaniach, życzeniach i temperamencie.

Muszka przylepiona w kącie oka oznaczała „rozkochaną", na środku policzka „uprzejmą", na wardze „całuskę", na nosie „śmiałą", na brodzie „wabiącą". A kształt? Polskie damy, które na ogół przyjmowały chętnie zagraniczne mody, tym razem nie zastosowały się w całej pełni do przychodzących z zachodu wzorów. Tam już od końca XVI wieku twarze dam gęsto pokrywały czarne punkciki, później jednak pełne fantazji angielskie elegantki uznały to widocznie za zbyt banalną ozdobę i w połowie XVII wieku zaczęły sobie lepić na czole muszki w kształcie np. kabrioletu, zaprzężonego w dwa konie. Polskie damy okazały się skromniejsze, a przez to może wybredniejsze. Z klejonego papieru, jedwabiu, aksamitu, tafty, małe i duże, czarne i kolorowe, wystrzygane i proste zdobiły ich lica, lecz w mniejszych rozmiarach i ilościach. Kształt nie był obojętny. Księżyc domagał się przygód, gwiazdy zdradzały tęsknotę, okrągłe mówiły o zranionym sercu...

Cóż za ułatwienie dla zakochanych!

Ale że nic nie trwa wiecznie, więc także w dziedzinie dbałości o urodę i różnych kosmetycznych ekstrawagancji nastąpił zupełny przewrót. Pod wpływem kolejnej mody nakazującej powrót do natury i stylizowanej prostoty nadmierne makijaże i „muszczkowania" uznane zostały za przeżytek.

Renesans makijażu nastąpił dopiero po pierwszej wojnie światowej. Samo słowo – maquillage – także się wtedy zrodziło (z franc. – bielidło).

Dziś panuje moda na dyskretny makijaż, bo tylko wtedy spełnia on swoje zadanie. Umiar stał się główną cechą elegancji. Umiar – którego nie znali nasi przodkowie ani w kosmetyce, ani w ubraniu, ani w noszeniu biżuterii. Nie róbmy im jednak z tego powodu zarzutów! Nie byli na tle ówczesnego świata wyjątkiem w pojmowaniu zasad elegancji. Byli może tylko nadmiernie przesadni, zbyt lubujący się w wystawności, a ignorujący estetykę życia. Nikt z nich przecież nie zgodziłby się z twierdzeniem, że elegancja jest nieodrodną siostrą skromności.

Tadeusz Rojek

Przedsiębiorcze emancypantki doprowadziły do pojawienia się teorii naukowych, stwierdzających, że dotychczasowy ubiór niewieści jest niehigieniczny i niezbędnie wymaga reformy. W roku 1882 utworzono w Anglii stowarzyszenie pod nazwą „Rational Dress Association", na czele którego stanęli lekarze. Postawili oni sobie za zadanie zreformowanie zarówno stroju damskiego, jak i męskiego, celem uczynienia ich użyteczniejszymi, zapewniającymi większą swobodę ruchów. Głoszono hasło, że elegancja i piękno nie mogą obrażać poczucia przyzwoitości i moralności publicznej, lecz dbać należy jednocześnie o higienę i użyteczność odzieży. Na tym gruncie rozwinęła się ożywiona działalność reformatorek. Lady Haberton, która znalazła się na czele angielskiego ruchu emancypacyjnego, postulowała wprowadzenie spodni zamiast – a co najmniej – oprócz spódnicy. Ktoś proponował wyjście kompromisowe: przedzielić spódnicę na dwie nogawki, co byłoby bardzo praktyczne dla pań uprawiających konną jazdę, saneczkarstwo i sport rowerowy. Na wystawie urządzonej w Londynie w roku 1885 zaprezentowano liczne „kostiumy spodniowe". Wszystkie te inicjatywy natrafiały na trudne do pokonania przeszkody. Reformatorki wzięły się więc na sposób i zaczęły lansować dziwaczny ubiór polegający na tym, że spodnie pokrywała krótka spódniczka, co było oczywiście i brzydkie, i śmieszne zarazem.

Ludwik Bourdeau, badacz dziejów kultury i autor wielu prac z tej dziedziny, pisał o dążeniu do zreformowania ubioru niewieściego jako o drodze mającej doprowadzić do wyzwolenia się kobiety spod władzy mężczyzny. Twierdził on, że dzięki pobłażliwości mody panie noszą już męskie żakiety i kamizelki, istotną wszakże i najtrudniejszą reformą byłoby włożenie

Spodnie noszone były przez kobiety początkowo tylko jako strój sportowy

przez nie spodni na znak równości, o ile nie przewagi. „Reforma ta, która w życiu kobiety stanowiłaby przewrót głębszy niż wszystkie inne, dopóty nie ma szans powodzenia, dopóki kobieta nie zdobędzie równouprawnienia cywilnego i politycznego".

Bourdeau pisał te słowa na początku naszego wieku, uważając, że spór o spodnie toczy się nie wokół problemów estetyki ani też moralności, lecz wokół zupełnie innych spraw. Kobieta w spodniach symbolizowałaby równouprawnienie z mężczyzną, a do tego było jeszcze dość daleko.

Wielkie zmiany na tym polu przyniosła pierwsza wojna światowa, w latach 1914–1918. Kobiety w wielu miejscach pracy, przy licznych warsztatach, na stanowiskach, gdzie nigdy dotychczas ich nie widziano, zastąpiły mężczyzn. Obowiązek ten, podyktowany sytuacją wojenną, miał poważne konsekwencje natury społeczno-obyczajowej. Przede wszystkim stanowił duży krok w kierunku równouprawnienia, zmieniając pozycję kobiety w społeczeństwie. Nie mogło to ominąć spraw mody. Wygoda i prostota, naturalność i swoboda miały zastąpić dotychczasowy styl w ubraniu.

Chociaż w obyczajowości lat międzywojennych nastąpiły zmiany bardzo istotne w porównaniu z latami poprzedzającymi bezpośrednio rok 1914, mimo zmian, jakie nastąpiły w modzie, nie udało się bojowniczkom o równouprawnienie kobiet wygrać batalii o spodnie. Wprawdzie sławna gwiazda filmowa Marlena Dietrich w latach trzydziestych ostentacyjnie zaczęła używać męskiego ubrania, twierdząc, że czuje się w nim bardzo swobodnie – pozostała jednak wyjątkiem. Spodnie były tolerowane w damskich piżamach. Ale z kolei piżamy jako ubranie dla panów spotkały się u części męskich konserwatystów z ostrym sprzeciwem, więcej nawet – z pogardą. Gazeta „The People" pisała w owym czasie: „Prawdziwi mężczyźni używają nocnych koszul i gardzą osobnikami, wkładającymi strój tak bardzo kobiecy jak piżama."

Na drugiej półkuli w Ottawie w roku 1936 powstał klub zwolenników męskiej nocnej koszuli, a jego filie działały w Montrealu i w Nowym Jorku.

Dopiero po drugiej wojnie światowej w latach, gdy kobieta poczuła się absolutnie równorzędną partnerką mężczyzny, rozszerzyła komplet swoich toalet o strój przypominający męskie ubranie, którego integralną częścią były oczywiście spodnie. W teatrze, na wizycie, na ulicy, na urlopie, w miejscu pracy, w domu – wszędzie zjawiała się kobieta w spodniach. I tym razem zwyciężyła.

Moda a... archeologia

Niejednemu z nas może się nasunąć pytanie, czy udałoby się już dziś wskazać strój, wyrażający styl naszej epoki – drugiej połowy XX wieku – podobnie jak np. krynolina była reprezentatywnym strojem dla Drugiego Cesarstwa? Brakuje nam do tego nie tylko owej tak ważnej do syntetyzowania perspektywy. Wydaje się ponadto, że nowoczesne metody produkcji, dostarczające na rynek coraz nowe wzory, gatunki, modele stanowią tu nie lada przeszkodę i że utrudnią one poważnie znalezienie takiej syntezy mody także i przyszłym historykom kultury i badaczom obyczajów.

Nie o same zresztą ubiory idzie. Oprócz nich bowiem moda narzuca rozliczne „uzupełnienia" strojów, jak np. okulary słoneczne typu „pop", fryzury à la taka czy inna gwiazda filmu lub estrady, pewien rodzaj sztucznej biżuterii, paski, torebki, guziki ze sloganami, bluzki z nadrukiem wyglądającym jak kolumny dzienników, makijaże, a także urządzenia wnętrz. One też należą do mody i stylu epoki. W tym miejscu na przyszłych badaczy naszych czasów czekałyby niespodzianki. Ludzie nowocześni bowiem lubią urządzać swoje mieszkania posługując się antykami. Antyczny akcent na tle nowoczesnego wnętrza jest uważany za „szczyt mody".

Wszystko to łączy wszakże jedna wspólna cecha: przelotność tego, co modne. Mody XX wieku pojawiają się i znikają w niebywałym tempie. Gdzie te czasy, gdy w kuferkach przechowywało się przesypane naftaliną babcine toalety dla wnuczek? Stosunki człowieka z rzeczami, które mu służą, stają się coraz bardziej krótkotrwałe. Żyjemy w epoce przedmiotów jednorazowego użytku.

„Od kartonowych pojemników na mleko po rakiety napędzające pojazdy kosmiczne – produkty stworzone na krótko lub przeznaczone do jednorazowego użytku stają się coraz liczniejsze i decydują o całym naszym sposobie życia" – pisze w swym „Szoku przyszłości" Alvin Toffler.

Oryginalnym a zarazem wymownym przykładem nowoczesnego magazynu mód są otwarte w nim oddziały ubrań z papieru. Amerykańskie żurnale proponują stroje do jednorazowego użycia: wspaniałe kreacje, garnitury, piżamy, a nawet suknie ślubne – wszystko zrobione z papieru i olśniewające kolorami.

Czy w tych warunkach można określić, jaki strój reprezentować będzie nasze czasy w historii ubiorów?

Oglądając się na przeszłe epoki i konfrontując ich mody z dzisiejszą, łatwo można ulec wrażeniu, że ostatnie kilkadziesiąt lat XX wieku nie ma sobie równych pod względem rewolucyjności zmian w ubiorach – przede wszystkim w ubiorach pań.

I oto w tym miejscu czeka nas wielka, niemal sensacyjna niespodzianka, i to pochodząca od... archeologów, którzy słuchając o rewolucyjnych zmianach mody sceptycznie się uśmiechają. Twierdzą oni bowiem, że tylko trzy rewolucje przeżyła moda, a ściślej mówiąc nasz sposób ubierania się, lecz odległości ich od siebie mierzy się tysiącami lat.

Pierwszą więc rewolucję przeszła moda w epoce lodowcowej, gdy ubranie z funkcji zdobienia ciała przeszło do chronienia go przed dokuczliwymi warunkami zewnętrznymi. Wtedy praktykować zaczęto zszywanie futer i skór.

Druga rewolucja rozpoczęła się w epoce polodowcowej, gdy futra i skóry stały się zbyt ciężkie, w szczególności w lecie. Wywołało to potrzebę szukania materiałów zastępczych. Uprawia się więc len jako roślinę tkacką, użytkuje się na przędzę runo kóz i owiec. Z kolei wynalazek warsztatu tkackiego pomógł rozwiązać w tamtej epoce zagadnienie odzieży. Samodziały lniane i wełniane zastąpiły futra i skóry dawniej wyłącznie noszone.

Trzecia wreszcie rewolucja rozgrywa się już na naszych oczach, a spowodowało ją przejście tkactwa ręcznego na maszynowe, następnie zaś wprowadzenie przędziwa syntetycznego – sztucznego jedwabiu i nylonu.

Cztery czynniki zawsze warunkowały modę: surowiec, z którego można sporządzić odzież, narzędzia, którymi jest ona krajana i szyta, cel, jakiemu dane ubranie ma służyć (robocze, świąteczne, rytualne), i klimat, a także warunki terenowe, w jakich ludzie żyją.

Uczeni, badający dzieje mody od czasów jej pramodelu, zapatrując się sceptycznie na jej tzw. kaprysy, uważają, że zmiany w niej dotyczyć mogą tylko szczegółów. Zasadnicze bowiem formy wykształciły się w ciągu kolejnych epok od krzemienia przez brązową, żelazną, okres rzymski, wczesnohistoryczny i średniowieczny, drobiazg – przez ostatnie dziesięć tysięcy lat.

Specjaliści uważają, że odzież ludzka mimo pozornej różnorodności form, bogactwa kolorów i ozdób wykazuje jednak pewną ciągłość rozwojową, jednolitość i powtarzalność. Wynika to niewątpliwie z budowy ciała ludzkiego, a także z pewnej stabilizacji klimatycznej w epoce polodowcowej.

Wiele, bardzo wiele współczesnych wzorów i form strojów spotykamy w muzeach archeologicznych. Kto zwraca uwagę na ubiory, widoczne na terakotowych figurkach – znakomita ich kolekcja znajduje się w muzeum w Aleksandrii – na rysunkach, na brązowych zawieszkach, na wazach – przekona się, że wszystkie tamte ubiory w swych zasadniczych liniach przetrwały do dnia dzisiejszego.

Czyżbyśmy więc na zakończenie naszych rozważań o modzie mieli dojść do wniosku, że... moda się w gruncie rzeczy nie zmienia, a zmieniają się tylko szczegóły i akcesoria ubiorów?

Tego zdania mogą być archeologowie, dla których miarą czasu są tysiąclecia. Dla modnych pań i panów moda zmienia się z dnia na dzień...

Tadeusz Rojek

Fragmenty z książki: „Damy, rycerze i dżinsy", która ukaże się nakładem „Naszej Księgarni"

Z POWIEŚCI NA EKRAN

Scena z filmu „Przygody Tomka Sawyera" zrealizowanego na podstawie powieści Marka Twaina

Skąd brać scenariusze?

Od kiedy film nauczył się opowiadać fabuły – bo jak wiemy, zaczynał od króciutkich obrazków-scenek – zaczął tych fabuł szukać w powieściach. Trafiło więc na ekran kilkanaście powieści Balzaka, Dumasa, Dostojewskiego, Dickensa, Wiktora Hugo, Londona, Tołstoja, Zoli. Niektóre z nich, jak na przykład „Trzech muszkieterów" Dumasa przenoszono na ekran nawet kilkanaście razy, i to w różnych krajach. Filmowcy najchętniej sięgali po powieści realistyczne, a więc XIX-wieczne. Prosta budowa tych utworów, na ogół szeroko namalowane tło społeczne i historyczne, wiele informacji o wyglądzie miejsc, ludzi, dokładny, a czasem nawet bardzo dokładny opis poszczególnych sytuacji dawały im stosunkowo mocny grunt pod nogami. Powieści późniejsze, których autorzy bardziej interesowali się tym, co jest w człowieku, w jego wnętrzu, jak czuje, jak myśli, mniej kusiły filmowców z tego prostego powodu, że pokazać stany psychiczne jest bez porównania trudniej niż pokazać wydarzenia.

Nie budziło nigdy zastrzeżeń przenoszenie na ekran powieści przygodowych, sensacyjnych, kryminalnych, takich, w których najważniejsza jest fabuła. Nikt też nie upominał się nigdy o to, żeby filmowiec liczył się z takim pisarzem, jak na przykład J.F. Cooper, natomiast adaptowanie utworów pisarzy tej miary, jak Tomasz Mann czy Ernest Hemingway, budziło wiele zastrzeżeń i ma wielu przeciwników. Twierdzą oni, że film z natury rzeczy musi ukazywać problemy bardziej powierzchownie, że myśl pisarzy zostaje zubożona. Ostają się z powieści wydarzenia, ginie natomiast to, co nazywamy atmosferą, nastrojem powieści, to, co jest charakterystyczne dla każdego wielkiego pióra, stanowi o jego odrębności i niepowtarzalności. Jednym słowem, filmowcy robią krzywdę pisarzom, bo ich spłycają, a więc nie powinni tykać się wielkiej literatury.

Jest na pewno wiele słuszności w tych stwierdzeniach, szczególnie zaś wtedy, gdy do głębokiego, wartościowego dzieła zabiera się reżyser niezbyt utalentowany. Na ekran trafiają wtedy komiksy oparte na wielkiej literaturze, nie mające jednak nic wspólnego ani ze sztuką, ani z dorobkiem myśli ludzkiej.

Ale są też przecież i ważne racje przemawiające za przenoszeniem na ekran wielkich dzieł literackich. I to racje bardzo różne.

Na świecie powstają co roku setki filmów. Od kiedy rozpowszechnia je oprócz kin także telewizja, zapotrzebowanie jest coraz większe. Skąd brać scenariusze? I dlaczego nie wykorzystać istniejących już pomysłów, czyli nie przysposobić powieści do potrzeb filmu? Reżyserzy szukają więc w powieściach, opowiadaniach, nowelach, które powstały pięćdziesiąt czy sto lat temu spraw do dziś dnia ważnych dla danego narodu, społeczeństwa lub prawd nieprzemijających, aktualnych zawsze i wszędzie. Chcą je przypomnieć widzowi za pomocą kamery i mają do tego prawo. Jak to robią, czy zawsze z pozytywnym efektem, to już inna sprawa.

Są też argumenty przemawiające za tym, że należy jednak robić adaptacje filmowe powieści. Otóż jest wielu ludzi, którzy czytają niewiele – zaledwie kilka książek rocznie, ale lubią

Scena z rosyjskiego filmu „Wojna i pokój" w reżyserii Sergiusza Bondarczuka

chodzić do kina i chętnie siedzą przed telewizorem. Dlaczego więc właśnie tą drogą nie miałaby do nich trafić historia Dawida Copperfielda, Małej Dorrit czy Anny Kareniny? Jeżeli po obejrzeniu filmu dojdą do wniosku, że znają na przykład „Cichy Don" – nie trzeba rozpaczać z tego powodu. Lepiej, żeby znali sławną powieść z ekranu niż żeby nie słyszeli o niej w ogóle. Ale na pewno będą tacy, którzy po obejrzeniu filmu zechcą przeczytać powieść Szołochowa, żeby więcej dowiedzieć się o bohaterach. W wydawnictwach wiedzą o tym i tam bardzo często przygotowuje się właśnie na czas premiery nowe wydanie książki dla zachęty ilustrując ją fotosami filmowymi. Nie zawodzą wydawców rachuby – ludzie kupują tysiące egzemplarzy.

Są też i tacy, co stanowczo twierdzą, że wolą czytać powieści, z ciekawości idą jednak zobaczyć, jak też wyglądają bohaterowie powieści na ekranie i jak prezentuje się akcja w ruchu, w kolorze, z minuty na minutę.

„To nie Żeromski, ale Andrzej Wajda!..."

Szczególne zainteresowanie towarzyszy adaptacjom powieści szeroko czytanych i znanych. Tak było na przykład z ekranizacją „Wojny i pokoju" w Związku Radzieckim, tak było u nas z „Panem Wołodyjowskim", „Potopem", „W pustyni i w puszczy". Toczą się wtedy gorące dyskusje na temat obsady aktorskiej, bo każdy jakoś tam sobie wyobraża na podstawie opisu, jacy powinni być bohaterowie. Widzowie chcą wiedzieć, gdzie będę realizowane zdjęcia, czy reżyser będzie wierny pisarzowi, którego powieść adaptuje. Jest to szczególnie ważne wtedy, gdy na ekran ma trafić powieść, która spełniła już w życiu narodu dużą rolę i wskutek tego – zdaniem wielu osób – powinna być nietykalna. Tak jest na przykład z książkami Prusa czy Żeromskiego.

Ale co to znaczy być wiernym powieści? Mówi się: oddać innymi środkami, w inny sposób to, co zawarte w powieści, zachować ducha utworu, jego ideę, nie zgubić atmosfery. Wiadomo jednak, że każdy odczytuje powieść trochę inaczej, dla każdego inna sprawa może być w każdym utworze najważniejsza. Ale reżyser to też czytelnik, więc i on ma chyba do tego prawo, a gdy zrealizuje film, z kolei z nim można się zgadzać albo nie, podobnie jak z pisarzem. O jednym trzeba jednak pamiętać: film zawsze będziemy odbierać inaczej niż powieść. Kiedy czytamy, pracuje nasza wyobraźnia, gdy oglądamy film, mamy do czynienia z działaniem wyobraźni reżysera, scenografa, kostiumologa, operatora – wszystkich ludzi, którzy tłumaczyli słowa na język obrazów. Dyskusje wokół filmów, które są adaptacjami powieści, mają więc jakby dwa piętra – ocenia się film jako taki, a niezależnie od tego porównuje się go z powieścią.

W naszym społeczeństwie, które jest bardzo przywiązane do swojej wielkiej literatury, dyskusje te są bardzo gorące – towarzyszyły „Krzyżakom", „Lalce", „Faraonowi", „Chłopom", „Potopowi". Szczególnie namiętnie dyskutowano na temat filmów Andrzeja Wajdy, reżysera tak znakomitego, że nie można wobec jego propozycji filmowych pozostać obojętnym. Swoimi „Popiołami" Wajda wywołał dyskusję ogólnonarodową. Dotyczyła ona nie tylko wierności czy niewierności Żeromskiemu, ale w ogóle polskiego honoru, patriotyzmu, losu Polaków. A przecież film mówił o sprawach pozornie przebrzmiałych, sprawach sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Realizując „Ziemię obiecaną" na podstawie prawie zapomnianej powieści Władysława Reymonta dokonał z kolei niemal odkrycia – pokazał nam kawał naszej historii, tej najmniej znanej. Pokazał, jak kształtowała się nasza historia nie na polu bitwy, ale w przemysłowym mieście, gdzie również toczyła się walka, ale ekonomiczna.

Za każdym razem Wajda miał własną wizję sprawy, którą chciał unaocznić, brał z powieści to, co mu było potrzebne, zmieniał całe jej partie, przestawiał wydarzenia, kończył opowieść inaczej niż autor, co przecież dla wymowy utworu ma niesłychanie ważne znaczenie. Jego odstępstwa od fabuły powieści były tak widoczne, że widzowie wołali: przecież to wcale nie Żeromski, to Andrzej Wajda, który w dowolny sposób wykorzystał wątki „Popiołów"!

Filmowa „Smuga cienia"

I oto ten „nieposłuszny" wobec literackiego tekstu reżyser zrealizował „Smugę cienia" według powieści Józefa Conrada. Film zaskoczył i jego samego, i widownię. Jest bowiem niemal dosłownym przeniesieniem na ekran prozy Conrada.

Z wszystkich pomysłów, które miały „ufilmowić" opowiadanie, dodać mu dynamiki, tempa, Andrzej Wajda rezygnował kolejno w czasie przygotowywania scenariusza, realizacji, a nawet jeszcze przy montażu filmu. Miał na przykład zamiar wprowadzić na pokład ducha poprzedniego kapitana, który rzekomo ściąga na statek nieszczęście. Mogłoby to być bardzo malownicze, ale niezgodne z tym, co napisał Conrad. Ciężko chory pierwszy oficer wprawdzie wierzy głęboko, że trup kapitana pływa wokół statku i że „spłata jeszcze piekielnego figla", ale przecież Conrad wyraźnie pisze we wstępie, że były to urojenia chorego człowieka. Wajda rozważał też możliwość innego zakończenia – film miał się kończyć sceną na lądzie – i tak został pierwotnie zmontowany, ale po obejrzeniu i reżyser, i cała ekipa uznała, że jednak najlepiej się odbiera zakończenie wierne książce.

Rezygnując więc z dodatków i ulepszeń, Andrzej Wajda starał się, aby w filmie wszystko było jak najbardziej konkretne – tak konkretne, jak w Conradowskim opisie. Statek, woda, olinowanie, pot ludzki. Nawet cisza. Ale jak oddać ciszę? Jeżeli będzie trwała, żaglowiec nigdy nie wydostanie się na pełne morze, wiatr nie doprowadzi go do portu, nie oczyści powietrza, w którym duszą się chorzy. Wajda wybrał metodę najprostszą. Nagrał każdy szmer, krok, każde skrzypnięcie. Przecież w ciszy można usłyszeć takie dźwięki. Było więc nie lada wyczynem dla całej ekipy, a szczególnie operatora – Witolda Sobocińskiego – upolowanie dnia autentycznej ciszy na morzu i zrealizowanie bardzo długiej, a kluczowej dla filmu sceny, w tak krótkim czasie. Ktoś pomyśli: można było nie nagrywać dźwięku, jeżeli morze szumiało. Nie można. Bo cisza na morzu, to nie tylko brak dźwięku, ale całkowity bezruch żaglowca, martwota. Gdyby wprowadzić sztuczną ciszę – scena byłaby po prostu fałszywa.

Tak więc reżyser, który adaptując powieść zawsze miał coś swojego do powiedzenia, tym razem uległ pisarzowi. Został przez niego zniewolony. Rzadki to wypadek w historii filmowych adaptacji.

Kalina Gawęcka

Ledwo zawrzesz za sobą furtkę dzielącą cię od wieku chłopięcego, a już wkraczasz w zaczarowany ogród. Nawet cienie jarzą się tu od obietnic. Każdy zakręt drogi pociąga inną ponętą. (...)

Idziesz przed siebie przyglądając się ciekawie drogowskazom wytkniętym przez poprzedników, idziesz w podnieceniu, przyjmując z jednakowym rozmachem złą i dobrą dolę – kułaki i miedziaki, jak mówi przysłowie – idziesz na spotkanie losu mieniącego się barwami, a kryjącego w zanadrzu nieprzebrany zasób możliwości. Komu dostaną się one w udziale? Czy tym, co na nie zasłużą, czy może szczęśliwym wybrańcom? – Mniejsza. Postępujesz naprzód, a twoim śladem nieodstępnie i niepostrzeżenie posuwa się czas. Aż przychodzi chwila, w której spostrzegasz przed sobą SMUGĘ CIENIA ostrzegającą cię, że dzień pierwszej młodości dobiegł już do końca.

(Z rozdziału pierwszego)

BEZ ZAŁOGI

Końcowe fragmenty powieści „Smuga cienia" Josepha Conrada

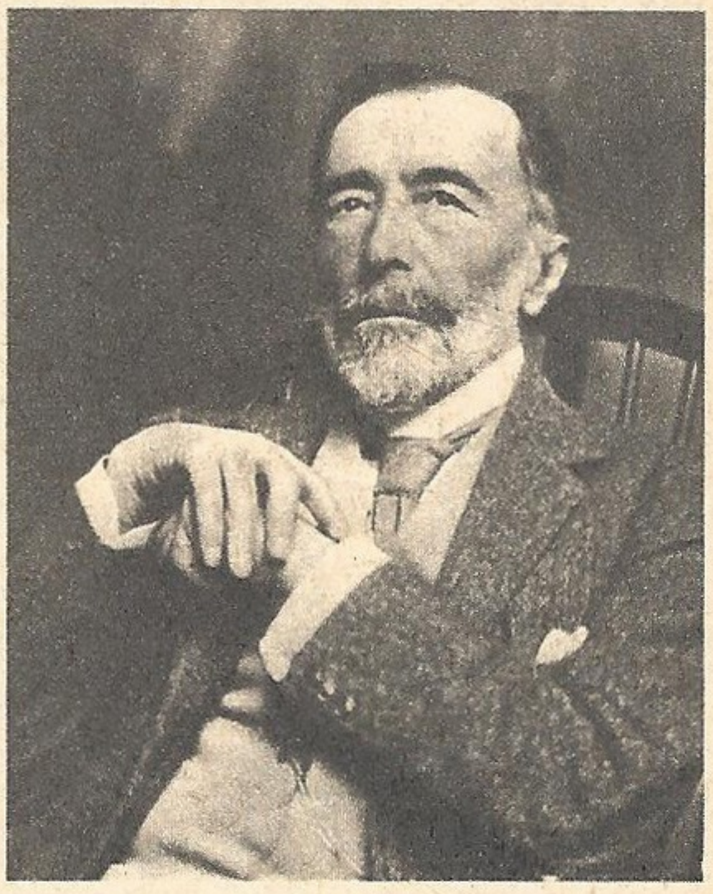

Joseph Conrad

Wiatr stawał się coraz chłodniejszy i dął ze wzmożoną siłą. O świcie udało nam się dzięki ostrożnemu manewrowaniu sterem sprawić, że reje skantowały się same, a potem osiągnąć zwrot przez naciągnięcie lin. Z czterech ludzi, którzy pracowali ze mną w nocy, pozostało nad ranem tylko dwóch; nie śmiałem dopytywać się o nieobecnych pocieszając się myślą, że musieli zasłabnąć chwilowo.

Praca na przodzie statku zajęła nam dobrych parę godzin, gdyż dwaj pozostali marynarze poruszali się jak żółwie i co chwila musieli wypoczywać. Jeden z nich zauważył ze zdziwieniem, że „każdy przedmiot na statku waży teraz sto razy więcej niż dawniej". Była to zresztą jedyna skarga, jaką z ich ust usłyszałem. Nie wiem, czybyśmy byli sprostali zadaniu, gdyby nie pomoc nieocenionego stewarda. Pracował z nami bez wytchnienia, nie mówiąc ani słowa, z bladym uśmiechem zastygłym na wargach. Od czasu do czasu upominałem go łagodnie: – Nie wysilajcie się, Ransome. Powoli, powoli... – na co odpowiadał mi szybkim, pojętnym spojrzeniem.

Dokonawszy wszystkiego, co można było uczynić dla zabezpieczenia statku, Ransome wycofał się do kambuza. W jakiś czas później dostrzegłem mimochodem jego postać poprzez uchylone drzwi. Siedział na skrzynce naprzeciwko pieca, wyprostowany, z głową w tył przechyloną i wspartą o ścianę, z zamkniętymi oczyma. Sprawne jego ręce odgarniały z piersi cienką, bawełnianą koszulę, odsłaniając tragicznym gestem potężną klatkę piersiową podnoszoną ciężkim, mozolnym oddechem. Nie zauważył mojej obecności.

Wycofawszy się jak najciszej, poszedłem na pokład rufy, aby wyręczyć sternika, który przez ten czas osłabł zupełnie. Biedny Frenchy usiłował dopełnić wszystkich formalności przy oddawaniu mi steru i wykazać sprężystość kroku, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i odchodząc zatoczył się dwa razy jak pijany.

Pozostałem przy sterze sam, kierując opustoszałym statkiem, który mknął pod pełnym wiatrem, unosząc się i opadając, a nawet z lekka kołysząc się na boki. Po pewnym czasie ujrzałem Ransome'a zbliżającego się do mnie z tacą w ręku. na widok jadła uczułem zwierzęcy głód. Oddawszy ster stewardowi, usadowiłem się na tylnym luku, by spożyć przyniesione śniadanie.

– Ten wiatr nie przysłużył się naszym ludziom – mruknął Ransome. – Położył ich co do jednego.

– Tak – rzekłem – zdaje się, że już tylko my dwaj ruszamy się jako tako.

– Frenchy twierdzi, że stać go jeszcze na parę podskoków. Nie wiem, nie wyobrażam sobie, aby to mogło być wiele... – tu Ransome uśmiechnął się po swojemu: – Dzielny z niego chłopiec, w każdym razie. – A po chwili milczenia dodał: – Co będzie, panie kapitanie, jeśli zbliżymy się do lądu, zanim wiatr przycichnie?

– Co będzie? Ha! Nie unikniemy strzaskania masztów albo rozbicia się o brzeg. Może nawet nastąpić i jedno, i drugie. Nic na to nie poradzimy. Statek mknie teraz jak strzała, i jedyna nadzieja w tym sterze. Nie mamy przecie załogi!

– Tak, cała załoga powalona – powtórzył spokojnie steward.

. . . . . .

W porównaniu z beznadziejną martwotą poprzednich dni szybkość, z jaką posuwaliśmy się teraz, była wprost zawrotna. Spod dzioba statku wykwitały dwie wstęgi piany, a wiatr huczał nieustannie nad naszymi głowami, zawodząc zuchwałą pieśń, której dzika melodia wydałaby mi się w innych okolicznościach najwyższym wyrazem potęgi i radości życia. Ilekroć podniesiony wielki żagiel wzdymał się pod naporem wiatru, grożąc rozerwaniem na strzępy w swym olinowaniu, Burns podnosił głowę i spoglądał na mnie z niepokojem.

– Cóż ja na to poradzę, panie Burns? Nie możemy ani zwinąć żagla, ani go rozciągnąć. Już bym wolał, aby wichura zupełnie go zerwała, nie byłoby przynajmniej tej piekielnej muzyki.

Burns załamał nagle ręce i wykrzyknął:

– Jakże pan wprowadzi statek do portu nie mając ludzi do obsługi?

Nie mogłem mu na to odpowiedzieć.

. . . . . .

Pod koniec nocy wiatr się uspokoił, po czym ucichł zupełnie. Około godziny piątej uczułem znowu lekki powiew, umożliwiający nam żeglowanie w kierunku redy.

Świt zastał nas przy pracy. Sternikiem był Burns, którego przymocowaliśmy sznurem do kraty luku; białe, kościste jego ręce, wydobywające się z olbrzymich rękawów, kierowały biegiem statku, podczas kiedy reszta załogi (tj. Ransome i ja) uwijała się po pokładzie, luzując żagle i szkoty. Uporawszy się z tą robotą skoczyliśmy w stronę kasztelu. Trzeba było także przygotować kotwicę. Z nadmiaru wysiłku i nerwowego napięcia pot lał się strugami z naszych twarzy. Nie śmiałem spojrzeć na Ransome'a, gdyśmy tak pracowali ramię przy ramieniu, zamieniając od czasu do czasu urywane słowa. Słyszałem przy sobie chrapliwy jego oddech i mimo woli odwracałem głowę, zdawało mi się bowiem, że ten niestrudzony pracownik runie lada chwila na pokład i umrze w moich oczach. Dla kogo i dla czego narażał swoje życie? Dla odległego chyba ideału, bo przecież nie dla celów osobistych.

Ocknął się w nim stary wytrawny marynarz, nie potrzebujący niczyich wskazówek. Każdy jego ruch, każdy wysiłek mięśni był aktem nieustającego heroizmu. Czułem się wprost niegodnym współpracy z tak natchnionym człowiekiem.

Gdy już wszystko było gotowe, towarzysz mój odezwał się stłumionym głosem:

– Może pora zejść na dół i otworzyć kompresory, panie kapitanie?

– Tak, trzeba to zrobić – odrzekłem nie mając odwagi i teraz podnieść na niego oczu. Po pewnym czasie głos jego rozbrzmiał na śródokręciu:

Zdjęcia z filmu „Smuga cienia" w reżyserii Andrzeja Wajdy

– Wszystko w porządku u windy, panie kapitanie.

Skinąłem na Burnsa, aby przestał sterować, sam zaś spuściłem kotwice, jedną po drugiej, oddając tyle kotwicznego łańcucha, ile go statek potrzebował. Obluzowane żagle opadły, i natychmiast ustał nieznośny łopot nad naszymi głowami. Na statku zapanowała cisza. Gdym stał nieruchomo, oszołomiony tym nagłym milczeniem, uszu moich doszły urywane i cichę jęki chorych leżących w przednim kasztelu.

Ponieważ poprzednio jeszcze wywiesiliśmy na bezanmaszcie sygnał wzywający pomocy sanitarnej, zanim jeszcze zdążyliśmy całkowicie unieruchomić statek, już trzy łodzie motorowe, należące do okrętów wojennych, podpłynęły ku nam od strony lądu, wioząc aż pięciu lekarzy wojskowych.

Ci ostatni rozejrzeli się naprzód ze zdumieniem po pustym pokładzie, po czym skierowali wzrok ku rufie, gdzie również nie było żywej duszy. Wyszedłem wtedy na ich spotkanie – śmieszna, samotna figurka, przyodziana w korkowy hełm i pasiastą piżamę. na twarzach doktorów odmalował się widoczny zawód, spodziewali się bowiem niezwykłych zabiegów chirurgicznych i w tym celu przywieźli narzędzia. Trzeba było jednak pogodzić się z sytuacją. W niespełna pięć minut później jedna z łodzi motorowych odpłynęła w stronę portu, by przysłać nam większą łódź i sanitariuszy, niezbędnych do transportowania chorych, druga zaś skierowała się ku okrętom wojennym celem przywiezienia nam marynarzy do obsługi żagli.

Z całej gromady doktorów pozostał na miejscu tylko jeden. Gdy po zbadaniu chorej załogi wynurzył się z kasztelu, spojrzałem na niego niespokojnym wzrokiem, nie mogąc wyczytać nic z niewzruszonej jego twarzy.

– Nikt nie umarł, jeśli o to chodzi – oznajmił mi szorstko, a po chwili dodał, kręcąc głową ze zdumieniem:

– Cała załoga, no, no!

– I wszyscy ciężko chorzy?

– Doprawdy ciężko chorzy!

Oczy jego błądziły czas jakiś po pokładzie:

– O nieba! A to co znowu?

– Pan Burns, mój pierwszy oficer – odpowiedziałem obejrzawszy się za siebie.

Z głową upiora, chwiejącą się jak na łodydze, na długiej, cienkiej szyi, Burns mógł istotnie każdego przestraszyć swym wyglądem.

– A więc jeszcze jeden kandydat do szpitala? – spytał doktor.

– Co to, to nie! – zaprzeczyłem wesoło. – Pan Burns musi tu pozostać, dopóki ożaglowanie wielkiego masztu nie przestanie działać. Jestem z niego bardzo dumny! To jedyny mój rekonwalescent.

– No, ale pan także... – zaczął doktor przyglądając mi się spod oka.

Przerwałem mu niecierpliwie:

– Nie jestem wcale chory.

– Nie? Wygląda pan jakoś dziwnie.

– Cóż pan chce? Od siedemnastu dni wciąż jestem na pokładzie.

– Od siedemnastu dni? Musiał pan przecie spać?

– Może i spałem. Nie zaprzeczam. Pewien tylko jestem, że przez ostatnie czterdzieści godzin nie zmrużyłem oka.

– Fiu!... Wybiera się pan na ląd?

– Gdy tylko się da. Tysiące spraw czeka na mnie w porcie.

. . . . . .

Widok miasta i ludzi czynił na mnie bardzo silne wrażenie. Uderzała mnie sprężystość kroku, żywotność i zdrowie każdego napotkanego przechodnia. W liczbie znajomych, na których natknąłem się w porcie, znalazł się oczywiście i kapitan Giles. Byłoby rzeczą niezwykłą, gdybym się był z tym człowiekiem nie spotkał, kapitan nie odstępował bowiem od swoich przyzwyczajeń, te zaś nakazywały mu odbywanie codziennej przechadzki po bulwarze, przy którym mieściły się biura i urzędy portowe.

Już z daleka dostrzegłem połysk złotego łańcuszka na jego szerokiej piersi. Postać zacnego kapitana promieniała przychylnością.

– Co słyszę? – zawołał ściskając moją rękę z uśmiechem dobrego wujaszka. – Dwadzieścia jeden dni z Bangkoku?

– Nie powiedziano panu nic więcej? – spytałem. – No, to musi mi pan kapitan dotrzymać towarzystwa przy śniadaniu. Chcę, aby pan wiedział dokładnie, w jaką mnie pan kabałę wpakował.

Zawahał się przez jedną krótką chwilę.

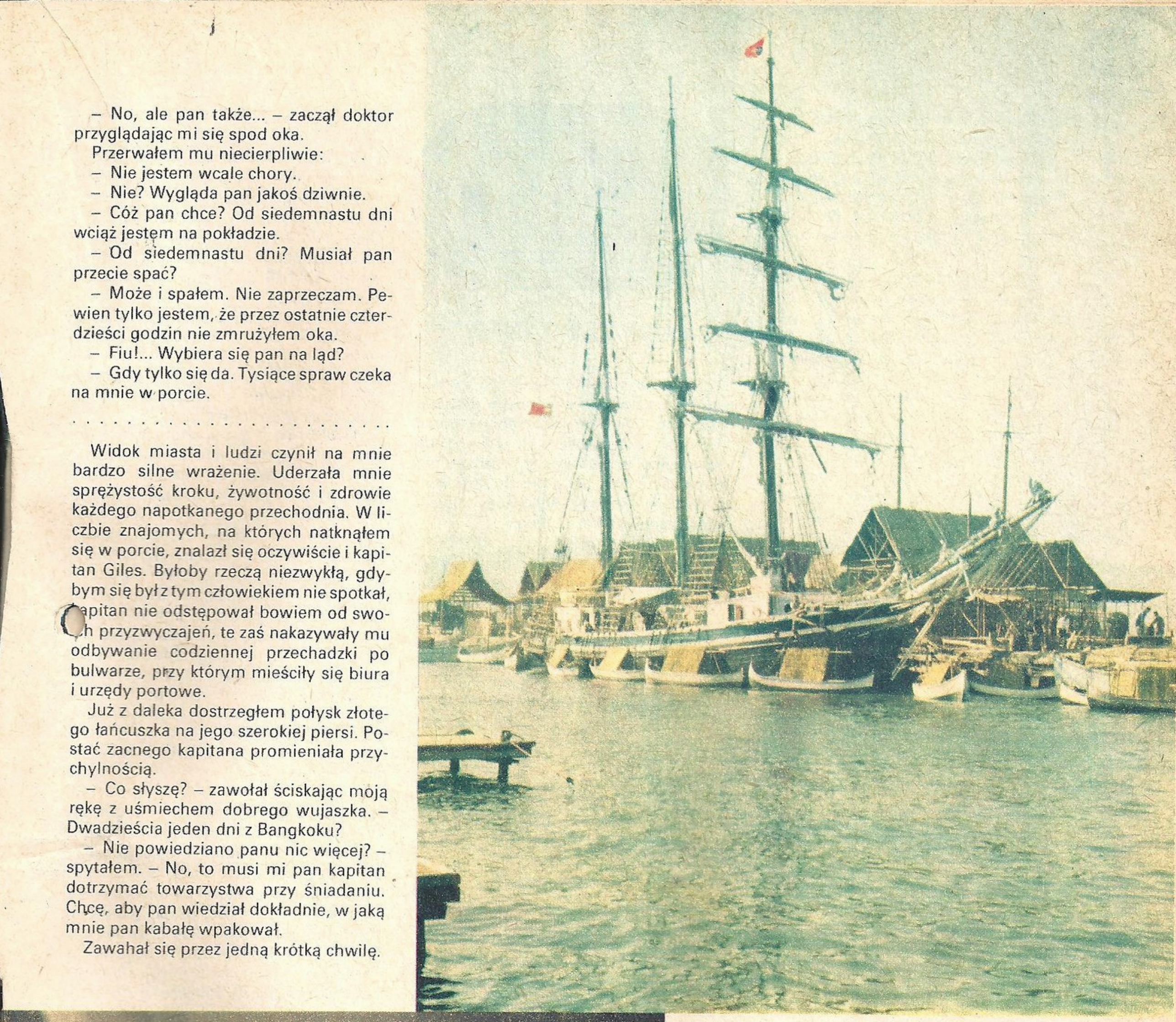

– Dobrze, służę panu – rzekł wreszcie z łaskawą rezygnacją.

Skierowaliśmy się do najbliższego hotelu. Przy śniadaniu stwierdziłem ze zdziwieniem, że apetyt służy mi wcale nieźle. Po skończonym posiłku pozostaliśmy we dwóch przy stoliku, z którego zdjęto zastawę, i wtedy to opowiedziałem kapitanowi wszystkie moje przygody od dnia, w którym objąłem komendę nad statkiem, aż do chwili wylądowania. Słuchał mnie cierpliwie, zdając się rozważać te moje przeżycia i od strony fachowej, i od strony emocjonalnej, wreszcie, zaciągnąwszy się raz i drugi dymem wielkiego cygara, którym go poczęstowałem, zauważył w zamyśleniu:

– Musi pan być ogromnie zmęczony...

– Nie, nie czuję zmęczenia – odrzekłem. – Co innego panu powiem, panie kapitanie – czuję się po prostu stary. I tak musi być naprawdę. Wszyscy, których tu na lądzie spotykam, robią na mnie wraże-

nie płochych młodzieńców, ludzi, którzy w swoim życiu nie zaznali troski.

Kapitan Giles nie uśmiechnął się, zachowywał się nadal nieznośnie powściągliwie. Wreszcie zawyrokował:

– To oczywiście przejdzie. Ale że pan się postarzał, to fakt, któremu trudno zaprzeczyć.

– A co! – podchwyciłem.

– Nie ma się zresztą wcale czym przejmować. Człowiek nie powinien przywiązywać nadmiernej wagi do tego, co go w życiu spotyka, czy to będzie złe, czy dobre...

– Słowem, żyć połowicznie – odparłem z przekąsem – nie każdego na to stać.

– Z biegiem lat nauczy się pan cenić umiejętność zachowania równowagi! – rzekł tonem mędrca przekonanego o swej cnocie. – Więcej panu powiem: obowiązkiem naszym jest stawiać czoło zarówno przeciwnościom losu, jak własnym błędom, a nawet drażliwościom sumienia. Inaczej bowiem z czymże byśmy walczyli?

Nie odpowiedziałem nic. Nie wiem, co kapitan Giles wyczytał w mojej twarzy, dość, że spytał znienacka:

– Czyżby pan był człowiekiem słabym?

– Bóg jeden wie, panie kapitanie – brzmiała moja szczera odpowiedź.

– Tak, toś pan słusznie powiedział. Nauczysz się, przyjacielu, wyrabiać w sobie wolę. Wszystkiego, wszystkiego musi się człowiek uczyć, a to jest prawda, której wielu młodych nie rozumie.

– Przestałem zaliczać się do rzędu młodych.

– Hm, tak. A kiedyż pan zamierza odjechać?

– Wracam niezwłocznie na statek – odparłem. – Czekam tylko na załogę, aby podnieść jedną kotwicę, a drugą wyciągnąć do połowy łańcucha. Chciałbym wyruszyć jutro przed wschodem słońca.

– No tak – mruknął Giles z uznaniem. – Bardzo dobrze! Tak być powinno.

– Cóż pan przypuszczał, panie kapitanie, że będę przez tydzień zażywał wywczasów? – żachnąłem się niecierpliwie, zirytowany jego mentorskim tonem. – Nie spocznę, dopóki statek nie znajdzie się na Oceanie Indyjskim, no, a i wtedy trudno mówić o wypoczynku.

Kapitan Giles wypuścił kłąb dymu z cygara i poruszył się gniewnie, jakby pod wpływem moich słów nastąpiła w nim nagła przemiana.

– Tak, tak. Do tego ostatecznie sprowadza się wszystko... – rzekł tonem głębokiej zadumy. Wydało mi się w tej chwili, że rozchyliła się zasłona, spoza której wyjrzało rzeczywiste, a nie znane mi dotąd oblicze kapitana Gilesa. Wrażenie to trwało zaledwie parę sekund. Zdołał jeszcze dorzucić:

– Nie masz wypoczynku na tym świecie – dla nikogo. Lepiej nie zastanawiać się nad tym...

Wstaliśmy od stołu i wyszedłszy z hotelu pożegnaliśmy się na ulicy gorącym uściskiem dłoni.

Joseph Conrad

FELIETON SPORTOWY

KUBA I „SPANIEL"

„Morze ma to do siebie, że za jego wypukłym horyzontem można zobaczyć wszystko... Dlatego uciekałem na morze, aby mieć tę rzeczywistość, która nadaje smak życiu, przyprawia je pieprzem niebezpieczeństwa, solą wody morskiej, świeżością wiatru, wysiłkiem mięśni. Przestrzenią dla oczu i duszy..."

Ten poetycki fragment napisał Leonid Teliga, pierwszy z polskich żeglarzy, który samotnie opłynął przed kilku laty świat na jachcie o wdzięcznej nazwie „Opty". Teliga, żeglarz wytrawny i wspaniały, arcyciekawy człowiek, dał początek serii okołoziemskich rejsów samotnych żeglarzy i jachtów pod biało-czerwoną banderą. Po nim dokonał takiego wyczynu Krzysztof Baranowski, inżynier elektronik i dziennikarz, już trasą znacznie trudniejszą, w strefie „ryczących czterdziestek" i „wyjących pięćdziesiątek". „Czterdziestki" i „pięćdziesiątki" to po prostu żeglarskie określenie szerokości geograficznej. „Polonez" Baranowskiego stał się symbolem wyczynu sportowego najwyższej klasy, już porównywalnego, polski żeglarz bowiem był szóstym z kolei śmiałkiem, który opłynął świat tak trudnym szlakiem. Trwa obecnie rejs Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz na jachcie „Mazurek", która jest na dobrej drodze, aby zyskać przydomek „Tierieszkowej oceanów". Żadna żeglarka na świecie, choć czyniono już wiele prób, nie opłynęła bowiem dotąd samotnie dookoła globu.

Przypomnienie tych trzech znaczących dla polskiego i światowego żeglarstwa wydarzeń jest potrzebne, aby przedstawić Kazimierza Jaworskiego, znanego konstruktora jachtowego, współtwórcę „Poloneza" kpt Baranowskiego. W minionym roku Jaworski zasłynął jako wspaniały żeglarz, uczestnicząc w transatlantyckich jachtach samotnych żeglarzy. W uznaniu tego sukcesu otrzymał on tytuł „Honorowego sportowca roku 1976", przyznany mu przez redakcję „Przeglądu Sportowego". Dziennikarze uznali, że choć jego wyczyn nie mieści się w żadnej z klasycznych konkurencji sportowych, jest w swej istocie sportem najprawdziwszym, walką z przeciwnościami losu, z dręczącą samotnika podczas rejsu nieustanną obawą o własne życie i dlatego zasługuje na szczególne wyróżnienie. Teliga przepięknie potrafił opisać żądze pchające go na wody oceanów. Jaworski dodał do tej prawdy jeszcze jeden element – rywalizację.

Od 1960 roku, w latach olimpijskich, rozgrywane są transatlantyckie regaty samotnych żeglarzy, na trasie z angielskiego portu Plymouth do Newport w Stanach Zjednoczonych, niedaleko Nowego Jorku. Angielski skrót nazwy tej imprezy brzmi – OSTAR. Autorami idei zorganizowania wyścigu samotnych żeglarzy przez Atlantyk byli dwaj znakomici angielscy żeglarze – Francis Chichester, odznaczony w kilka lat później przez Królową Elżbietę II tytułem „sir", oraz pułkownik „Blondie" Hasler, były komandos z czasów II wojny światowej.

W 1960 roku z grona czterech uczestników regat najszybciej na mecie zameldował się Chichester. Pomysł, początkowo przez wielu uznawany za szaleńczy – samotnie iść przez Atlantyk, w dodatku w sportowym wyścigu – zyskiwał jednak z czasem więcej zwolenników, niż mogli oczekiwać organizatorzy. W 1964 r. 14 jachtów, w 1968 – 34, w 1972 – już 59. Wszelkie rekordy pobiła jednak ostatnia impreza w 1976 r. – wystartowało 1[illegible] uczestników i na pozór zdawać by się mogło, że to tylko turystyczna eskapada. W tym gronie byli też dwaj polscy żeglarze – Zbigniew Puchalski na „Mirandzie", który po osiągnięciu mety w Newport wyruszył w rejs dookoła świata, i Krzysztof Jaworski na „Spanielu".

„Spaniel" i jego kapitan zrobili prawdziwą furorę. Kapitan przycumował w Newport jako czwarty, po 24 dniach 23 godzinach i 40 minutach rejsu. Zaledwie w półtorej doby po zwycięzcy, Francuzie Eriku Tabarly'm, który triumfował w tej arcytrudnej żeglarskiej próbie już po raz drugi (poprzednio w 1964 r., za ten wyczyn otrzymał najwyższe francuskie odznaczenie – legię honorową). Jaworski zajął jednak trzecie miejsce w oficjalnej klasyfikacji, jeden bowiem z trzech rywali, którzy wcześniej przybyli na metę, Francuz Alain Colas, triumfator wyścigu w 1972 r., został zdyskwalifikowany za niedozwoloną pomoc na trasie. W oficjalnym werdykcie jury Jaworski zajął więc trzecią lokatę, zwyciężając jednocześnie w jednej z trzech kategorii, obejmującej

Kapitan Jaworski na pokładzie jachtu

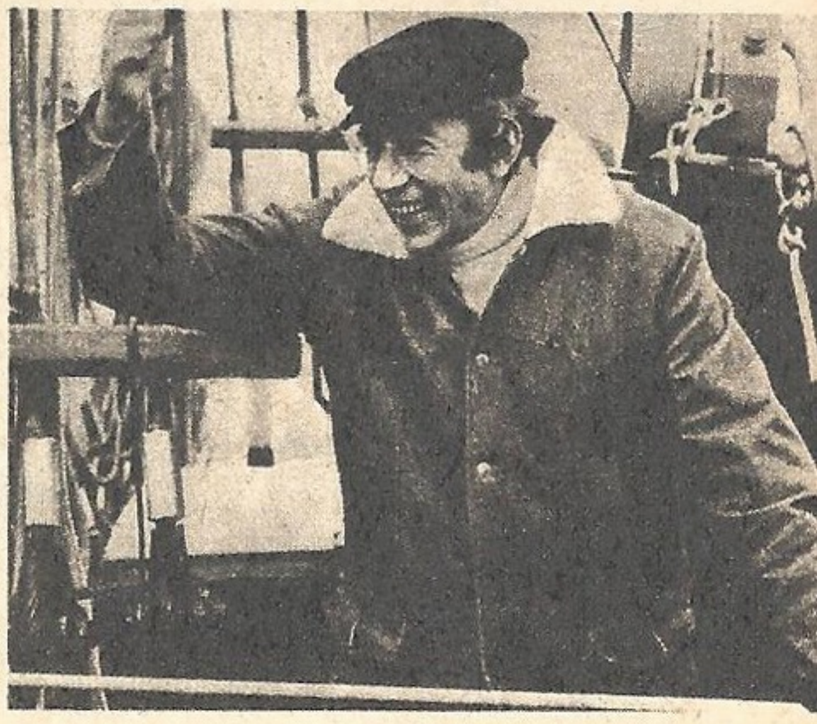

najmniejsze jednostki. Przed nim byli tylko Francuz i Amerykanin, za nim wielu innych, a wśród nich wszyscy żeglarze brytyjscy, uchodzący za najlepszych na świecie!

Dla znających się na rzeczy obserwatorów był to największy wyczyn w historii regat. Tak mały jacht nigdy nie przepłynął tak szybko Atlantyku, nigdy nie zajął tak wysokiej lokaty w pojedynku z żaglowymi kolosami. Kapitan „Kuba", jak nazywa się naszego bohatera, i jego „Spaniel" stali się obiektem podziwu konkurentów. Po zakończeniu regat OSTAR-76 polski żeglarz przebywał przez kilka miesięcy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, udał się też z Newport do Montrealu, miasta XXI Igrzysk Olimpijskich. Był tam fetowany nie mniej gorąco niż bohaterowie klasycznych, olimpijskich dyscyplin sportowych.

Ze 126 uczestników do mety dotarła zaledwie połowa. Warunki na trasie były wyjątkowo trudne. Nie spotykane w tym okresie w rejonie regat warunki – sztormowa pogoda i wiatry, niemal nigdy nie schodzące poniżej 3–4° w skali Beauforta – stanowiły dodatkowe utrudnienie. Pięć jachtów zatonęło, trzech żeglarzy poniosło śmierć w wodach oceanu...

– Chwilami brakowało mi już wiary, że dotrwam do końca – mówił na redzie portu w Montrealu kapitan „Kuba". – Zapomniałem, że gdzieś może istnieć coś takiego, jak ciepło i bezwietrzna pogoda. Na środku Atlantyku miałem dzień, kiedy prędkość wiatru przekroczyła grubo 60 mil na godzinę, czyli 11 w skali Beauforta, a strzałka wskaźnika nie mogła wychylić się dalej, gdyż skończyła się skala. Uderzenia fali o jacht przypominały walenie o betonowe nabrzeże, zdawało się, że jacht tego nie wytrzyma, ale jednak nie odniósł żadnych uszkodzeń. Przechyły dochodziły momentami do 80 stopni, w kabinie, mimo specjalnych wymyślnych zabezpieczeń fruwały wszystkie sprzęty... To był chyba czternasty albo piętnasty dzień regat. Włączone miałem radio, słyszałem wołania o pomoc nadawane z jachtów rywali. Nikt nie mógł im jednak pomóc... Myślałem już o przygotowaniu tratwy ratunkowej, sądziłem, że będę musiał opuścić pokład. Udało się jednak przetrwać, choć nie ukrywam, że nie wspominam tych chwil z przyjemnością...

Nazwisko kapitana Jaworskiego znalazło się na pierwszych stronach amerykańskich i kanadyjskich dzienników. On sam osobiście występował w programach radiowych i telewizyjnych, był rozchwytywany przez Polonię, honorowany przez władze, sławił polskie żeglarstwo. W Chicago, w drugim na świecie mieście pod względem liczby żyjących w nim Polaków, otrzymał honorowe obywatelstwo i symboliczne klucze do miasta; podobnie w Cleveland. W powodzi radosnej owacji, jaką wszędzie, gdzie się pojawił, go witano, zasypywano go tysiącami pytań

„Spaniel" pod żaglami

o wrażenia, niepowtarzalne, niepojęte i niedostępne dla zwykłego śmiertelnika, lądowego szczura. – Największą przeszkodą i utrudnieniem w tego typu żegludze jest samotność – odpowiadał. – Można przygotować właściwie jacht, nauczyć się żeglować, zdobyć niezbędną kondycję. Nikt jednak nie zdaje sobie sprawy z ciężaru samotności, jaka przez prawie miesiąc towarzyszy uczestnikowi regat OSTAR.

– To było potworne, choć przecież wiedziałem, że na jachcie będę sam. Próbowałem różnych sztuczek, aby zagłuszyć samotność, rozmawiałem z sobą, prowadziłem dialogi, w których byłem i sobą, i kimś innym. Drugą zmorą jest brak snu... Raz czy dwa w czasie regat spałem po 4–5 godzin. To wszystko. Miałem z sobą ogromny budzik, który nie wyłączony po pięciu sekundach uruchamiał syrenę przeciwmgielną, zdolną obudzić nieboszczyka. Udawało mi się spać po 20 minut, ale gdy pojawiła się mgła, potrafiłem zasypiać na trzy minuty i budzić się sam, już bez pomocy budzika. Na trzy minuty!

Wyścig samotnych żeglarzy przez Atlantyk był imprezą sportową. To już nie było żeglowanie, w którym nie liczy się czas, lecz twarda, sportowa walka. Nie mieści się ona jeszcze w regułach rywalizacji olimpijskich, choć coraz częściej się mówi, że uczestnicy tych regat zasługują na medale nie mniej niż zwycięzcy na stadionach.

Kapitan Kazimierz Jaworski liczy sobie 47 lat. Jest konstruktorem w szczecińskiej Stoczni Jachtowej im. Leonida Teligi. „Spaniel" jest jego dziełem – projektował go i pomagał przy jego budowie. To jeden z nielicznych w świecie sportowym przypadków, aby zawodnik tej klasy używał sprzętu zaprojektowanego przez siebie i zdobywał na nim tak cenne laury. Po trzech latach przygotowań „Kuba" wystartował w regatach OSTAR-76 i zajął trzecie miejsce. Już dziś rozpoczął przymiarki do następnej próby, w 1980 roku.

Zapewne popłynie na nowym jachcie. Wiadomo o nim tylko tyle, że również będzie nosił imię myśliwskiego psa, któregoś z ulubionych przez kapitana zwierząt.

Andrzej Gowarzewski

PAN SAMOCHODZIK

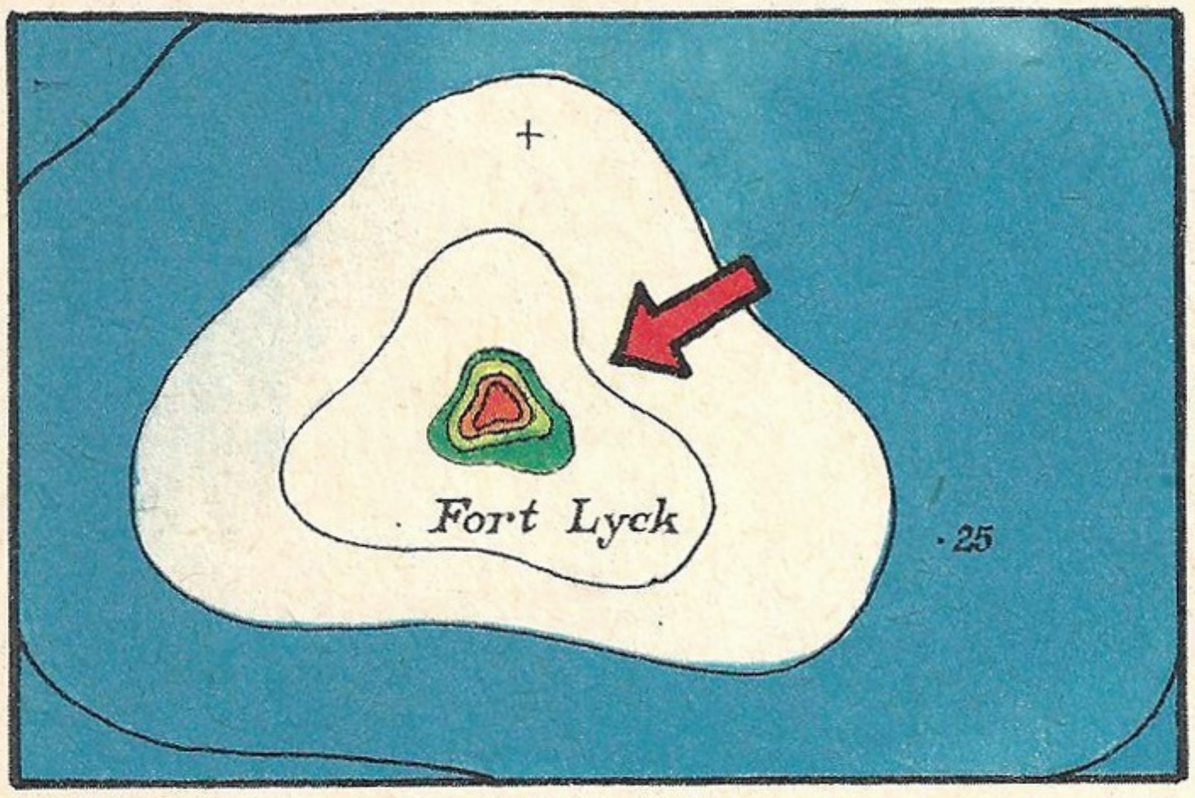

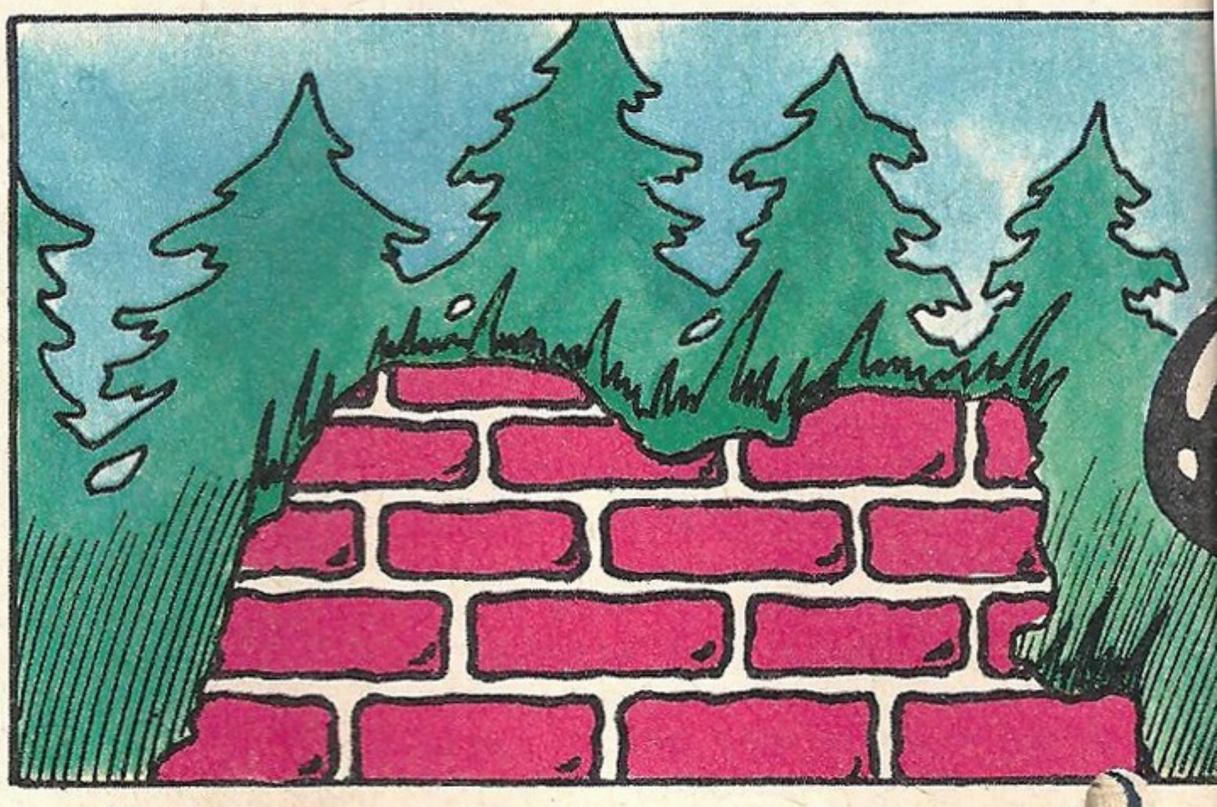

Winnetou zaprowadził nas w gąszcz krzaków na brzegu wyspy, gdzie leżała wyciągnięta na brzeg biała łódź, a w niej znajdował się worek z namiotem i sztucer z wymiennymi lufami.

– Tę łódź widziałem chyba w Niedźwiedzim Rogu – stwierdziłem, pomagając Winnetou rozstawić w krzakach dwuosobowy namiocik.

– Pożyczyłem ją od mecenasowej Popławskiej – wyjaśnił mój przyjaciel. – Trochę zbyt długo zasiedziałem się w Wejsunach u pana Eugeniusza. Czy mój brat, Szara Sowa, zna tę mądrą i dobrą bladą twarz?

– Nie.

– To były dyrektor szkoły w Wejsunach, obecnie już na emeryturze. Założył w swej wsi Izbę Regionalną, pełną mazurskich eksponatów z okolic Puszczy Piskiej. Przybył w te strony już po wojnie, ale ożenił się z Mazurką i rozkochał się także w tych ziemiach. Interesuje się wszystkim, co jest związane z tutejszym regionem, napisał o tej ziemi wiele artykułów i zebrał dużo ciekawych materiałów. W swej Izbie Regionalnej prowadzi frapujące gawędy dla wycieczek szkolnych. To u niego na ścianie wisi bardzo stara mapa tych okolic, wydrukowana w Berlinie przez syna słynnego Gizewiusza. Na tej mapie Czarci Ostrów to Fort Lyck.

– Czy domyśla się, co oznacza ta nazwa?

– Lyck, to po niemiecku Ełk. Fryderyk Wielki, król pruski, zbudował na wysepce

i NIEWIDZIALNI

ZBIGNIEW NIENACKI
Ilustr. EDWARD LUTCZYN

4.

na Śniardwach maleńką fortecę z dwoma działami, które mogły doskonale blokować szlak wodny z Pisza do Mikołajek i stanowiły ogniwo w obronnym łańcuchu twierdz i fortec, jakimi otaczali się Prusacy. Na wyspie znajdowała się kilkunastoosobowa załoga, prawdopodobnie z garnizonu w Ełku, stąd też i nazwa Fort Ełk, czyli Fort Lyck. Tak w każdym razie przypuszcza pan Eugeniusz. Nazwa Czarci Ostrów jest znacznie wcześniejsza i niedawno została przywrócona. Mój brat, Szara Sowa, powinien zobaczyć tę mapę i poznać bladą twarz z Wejsun.

– Oczywiście, że to zrobię – oświadczyłem z nadzieją, że być może od pana Eugeniusza dowiem się także o Dobeneckach.

– Rozmawiałem z nim o Czarcim Ostrowie – opowiadał dalej Winnetou – i zanim się spostrzegłem, zapadł zmierzch. Zarzuciłem torbę na ramię i pośpieszyłem przez lasy do Niedźwiedziego Rogu, gdzie zamierzałem wypożyczyć jakieś kanu, aby dostać się na wyspę. Miałem szczęście. Okazało się, że właśnie przyjechała na weekend mecenasowa Popławska i nawet już wyciągnęła swoją łódkę.

– Czy także do niej należy „BMW Turbo"?

– Nie. To nie jest jej blaszany mustang. Przyjechała tu z bladą twarzą, którego nazywa Duduś. To on ją namówił na weekend, za co Winnetou jest mu niezmiernie wdzięczny, gdyż mógł zdążyć na spotkanie z Szarą Sową.

– Nie byli zdumieni, że Winnetou chce po nocy płynąć na Czarci Ostrów? Nie pytali po co?

– Winnetou nie lubi niepotrzebnie strzępić sobie języka. Nie powiedział, że płynie na Czarci Ostrów. Poprosiłem o wypożyczenie łódki i choć zapraszali na spędzenie wieczoru przy rozpalonym kominku, wyruszyłem, aby spotkać Szarą Sowę.

Namiocik został rozstawiony i po chwili nasza trójka skryła się w jego zacisznym wnętrzu, osłoniętym od wiatru i deszczu. Monika schowała się w ciepłym śpiworze Winnetou, zapaliłem latarkę i zrobiło się niemal przytulnie.

– Szara Sowa bardzo się zmienił. Dawniej sam jeździł po przygodę. A teraz ma ze sobą białą skwaw – odezwał się Winnetou i popatrzył na mnie z uwagą.

– To moja nowa współpracowniczka – wyjaśniłem oględnie – a ta wyprawa jest dla niej próbą generalną. Ma na imię Monika i chce zostać detektywem.

W oczach Winnetou rozbłysły wesołe ogniki, które spostrzegła Monika. I natychmiast poczuła się urażona.

– Pan, panie Winnetou, sądzi, że nie nadaję się na detektywa? Ale to jednak właśnie ja trafiłam na ślad Fortu Lyck, a nie pana przyjaciel a mój szef, którego nie wiem dlaczego nazywa pan Szarą Sową.

– Jeszcze nie wiadomo, czy to cenny ślad – zauważyłem.

– Przekona się pan, że wpadliśmy na trop niezwykle interesującej historii. Tu są zapewne ukryte skarby. I Schreiber zlecił Blondynowi je odnaleźć. Teraz dzięki mnie będziemy mogli im w tym przeszkodzić.

Winnetou potwierdził jej przekonanie.

– O Czarcim Ostrowie krąży wiele legend, a wśród nich o zakopanych skarbach.

Przyszła pora, aby wyjaśnić Winnetou historię poprzedzającą nasze przybycie. Uczciwość nakazywała wspomnieć, że mimo poważnego kłopotu, który mnie i Marczakowi sprawiła działalność detektywistyczna panny Moniki, rzeczywiście tylko dzięki niej dowiedzieliśmy się, iż wielki antykwariusz z Berlina zachodniego interesuje się Czarcim Ostrowem. Bo czy pisałby na kartce Fort Lyck, a potem kartkę niszczył, gdyby ta mała wysepka na Śniardwach nie leżała w kręgu jego zawodowych zainteresowań? Dla Schreibera – turysty Mazury, a także Czarci Ostrów, były pociągające tylko latem. Zresztą on wyruszał w Bieszczady, aby zapolować na wilka, a kartkę z nazwą Fort Lyck pokazał Blondynowi, jak gdyby zlecając mu jakieś zadanie.

– Zaczekamy więc tutaj na bladą twarz zwaną Blondynem – oświadczył stanowczo Winnetou.

– Co takiego? – zaprotestowała Monika. – A jeśli on tu w ogóle nie przybędzie? A jeśli zjawi się za tydzień lub dwa tygodnie? Mamy tkwić na wyspie o chłodzie i głodzie? Czy pan, Winnetou, nie widzi, że mój szef aż trzęsie się z zimna?

– Szara Sowa okazał nieprzezorność, nie zabierając z sobą ciepłego swetra. Dlatego jutro rano Szara Sowa wraz z białą skwaw popłyną do mecenasowej Popławskiej i schronią się przy ciepłym kominku. Winnetou sam tu zaczeka na Blondyna.

– To nie ja okazałem nieprzezorność. Pożyczyłem białej skwaw swój sweter – broniłem się.

Monika zaczęła się śmiać.

– I pan, szefie, zaczął mówić tym dziwnym językiem? „Szara Sowa", „Winnetou", „biała skwaw". Gdzie ja jestem?

– Przydałby się jej kieliszek koniaku. Ona jest na granicy wytrzymałości nerwowej – szepnąłem do Winnetou.

– Powinniście raczej wypić szklankę gorącej herbaty i połknąć aspirynę – pokręcił głową Winnetou. – Ale jak rozpalić ogień? Na dworze wciąż pada deszcz i gałęzie są mokre. Czy Szara Sowa ma w swym blaszanym mustangu butle z gazem i czajnik? Winnetou przyniesie te rzeczy do wigwamu.

Dałem mu klucze od wehikułu i powiedziałem, gdzie go ukryłem. Winnetou opuścił namiot, a Monika przestała się śmiać.

– Proszę mi wybaczyć, już dłużej nie mogłam wytrzymać. Taki piękny mężczyzna – westchnęła – i taki nieszczęśliwy. Czy on naprawdę wierzy, że jest Winnetou?

– Bo on jest Winnetou. Tylko nowym Winnetou, współczesnym.

Jest znakomitym grafikiem, autorem wspaniałych rysunków i ilustracji do wielu książek. Nade wszystko jednak lubił rysować Indian i ilustrować powieści Maya, Coopera i innych pisarzy, podejmujących w swych książkach historie z Dzikiego zachodu. Zaproszony do Stanów Zjednoczonych wsławił się tam swymi indiańskimi ilustracjami i powrócił do kraju przywożąc ze sobą liczne egzotyczne pamiątki, które uzyskał zwiedzając rezerwaty Indian. Osiedlił się nad jeziorem Zmierzchun na Mazurach, tu postawił dom z drewnianych bali i zaczął prowadzić samotny tryb życia. Stał się wkrótce jednym z wielu obrońców przyrody i naturalnego środowiska człowieka. A ponieważ miał w swym domu z bali wiele eksponatów indiańskich, lubił rysować Indian i prowadził podobny do indiańskiego tryb życia, dzieci z okolicznych wiosek nazwały go „Winnetou". Przyjął ten przydomek i tak zrósł się z nim, że zaczął mówić indiańskim językiem z książek Karola Maya. Ci, którzy się z nim przyjaźnili – a miał wielu przyjaciół, ceniących nie tylko jego talent, ale i miłość do przyrody – przejmowali jego język jak zaproszenie do pięknej i nieszkodliwej zabawy, przypominającej dziecinne, beztroskie lata. Wędrowcy i poszukiwacze przygód – a wielu ich spotkać można na mazurskich szlakach – cenili Winnetou i w jego domu znajdowali zawsze ciepły kąt i odrobinę strawy. Jego wigwam wrósł mocno w mazurski krajobraz, a sam Winnetou stał się częścią legendy, którą zrodziła ta piękna ziemia.

– Chciałabym zobaczyć jego wigwam – rozmarzyła się Monika. – To cudowne mieszkać w takim domu z bali, samotnie nad jeziorem...

– Tak się pani tylko wydaje. U niego nie ma nawet elementarnych wygód. Ani światła elektrycznego, ani radia, ani telewizora. Uciekałaby pani stamtąd już po kilku dniach.

Winnetou przyniósł z wehikułu butlę gazową z umieszczonym na niej palnikiem, czajnik z wodą i ekspresową herbatę, którą zawsze zabierałem w drogę.

Deszcz łomotał o płótno namiotu, wiatr jęczał w gałęziach drzew na wyspie, a my siedzieliśmy w zacisznym kąciku, parząc sobie usta o krawędzie blaszanych kubków, wypełnionych herbacianym ukropem.

– Już północ – powiedziałem, patrząc na zegarek. – Pani, Moniko, prześpi się w wehikule, a my w namiocie. Rankiem zbadamy dokładnie wyspę.

– Nie ruszę się stąd – zaprotestowała Monika. – Nie zostanę nigdzie ani przez chwilę sama.

– Biała skwaw nie powinna szukać przygód, jeśli ma zajęcze serduszko – oświadczył Winnetou. – Uszy białej skwaw lubią zapewne głośną muzykę z ryczących pudeł albo z czarnych krążków, ale dla Winnetou i Szarej Sowy nie ma piękniejszej muzyki niż szum wiatru i łoskot fal jeziora.

– Na szczęście Monika zrezygnowała z pracy detektywa – odezwałem się, robiąc żałosną minę.

– Nic z tego – powiedziała Monika. – Jeśli tak bardzo cierpi pan z powodu pożyczonego swetra, to mogę go panu oddać...

Ale nie oddała. Była bardzo senna, wcisnęła się w śpiwór i natychmiast zasnęła. Zgasiłem latarkę. Skurczeni, w niewygodnej pozycji, w ubraniach, zasnęliśmy i my także.

W kwietniu słońce pokazuje się już dość wcześnie, kilkanaście minut po piątej. Świt wstał pogodny, bezwietrzny, zapowiadał się słoneczny dzień. Niemal lodowata woda jeziora odświeżyła nas. Przyrządziliśmy skromne śniadanie i w doskonałych humorach zabraliśmy się do likwidowania biwaku. Winnetou, indiańskim zwyczajem, starannie zatarł ślady biwakowania. Rozkazał mi ukryć wehikuł głęboko w przybrzeżnych trzcinach, worek z namiotem wrzucił do łódki, a łódź wprowadził w trzciny. Dopiero teraz zaczęliśmy dokładnie penetrować wnętrze wysepki.

Czarci Ostrów szczególnie piękny wydał się nam w ten wiosenny ranek. Wszystko tu tchnęło spokojem, ciszą, samotnością. O tej porze roku woda Śniardw ma delikatny, błękitny odcień.

Prawie całą wysepkę porastają drzewa i krzaki. Na trzech niedużych polankach

znaleźliśmy ślady zeszłorocznych ognisk i obrzeżone kamykami miejsca, gdzie stały namioty turystów, których latem zwabia tu nadzieja, że znajdą ciszę i odosobnienie. Jednak wysepka jest latem gwarna i rojna, tranzystory brzęczą tutaj tak samo głośno jak gdzie indziej. I tym bardziej przykro odbiera się hałas, gdy dookoła trwa cisza wielkiego jeziora.

Czarci Ostrów nie należał jednak do tych spokojnych zakątków, choćby ze względu na bliskość szlaku żeglugowego z Mikołajek do Pisza i sąsiedztwo wczasowiska Niedźwiedzi Róg, z jego willami i polem namiotowym. Tylko późną jesienią i wczesną wiosną można było podziwiać prawdziwe piękno małej wysepki.

Wyspa była naprawdę maleńka.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Fort Lyck tak interesował Schreibera – oświadczyłem wreszcie, znużony zwiedzaniem wysepki. – Sprawdziliśmy prawie każdy metr kwadratowy terenu. Jeśli kryje się tu skarb, jak podejrzewa Monika, to bez dokładnego planu, gdzie został zakopany, trudno byłoby go odnaleźć.

– A może warto przywieźć aparat do wykrywania metali? – odezwała się Monika.

– Obawiam się, że zbyt dużo zakopano tu puszek po konserwach, aby aparat taki mógł działać prawidłowo. Co krok będzie zapewne coś sygnalizował. A wykopiemy najwyżej przerdzewiałe pudełko albo stare żelastwo. Proszę pamiętać, że na wysepce była kiedyś fortyfikacja.

– Blada twarz zwana Blondynem wskaże nam drogę do skarbu – powiedział mój przyjaciel. – Winnetou będzie na niego czekał choćby i miesiąc. Szara Sowa i młoda skwaw wrócą do Warszawy, dokąd Winnetou przyśle im wieść o Blondynie.

– A jeśli Blondyn już tu był? – zapytałem.

– Nie. Bo nie odkryliśmy żadnych śladów kopania w ziemi, a skarb chyba nie leżał na wierzchu.

– A jeśli przybędzie dopiero latem?

– Nie – pokręcił głową Winnetou. – Latem jest na Czarcim Ostrowie zbyt wielu turystów. Nie da się szukać skarbu bez zwrócenia czyjejś uwagi. Blondyn przybędzie albo teraz, albo nie przybędzie wcale.

W tym momencie usłyszeliśmy warkot płynącej jeziorem motorówki. Jeszcze jej nie było widać, bo zakrywały ją drzewa na Wyspie Pajęczej, ale po jeziorze szeroko rozchodziło się jazgotliwe brzęczenie dużego, dwusuwowego silnika.

– Czy mój brat, Szara Sowa, nie sądzi, że na wszelki wypadek powinniśmy się ukryć? – powiedział Winnetou.

– Winnetou zna moje myśli! – odrzekłem.

I zwróciłem się do Moniki:

– Proszę zdjąć buty, skarpetki, podciągnąć nogawki spodni. Maszerujemy do łódki ukrytej w trzcinach.

– Teraz? W kwietniu? Żebym dostała zapalenia płuc?

Winnetou już zdążył się rozebrać. Chwycił Monikę, podniósł do góry i przeniósł do łodzi ukrytej w trzcinach. A ja pobiegłem na szczyt pagórka i przyłożyłem do oczu lornetkę.

Zza Wyspy Pajęczej wyskoczyła błękitna motorówka. Szklana szyba osłaniała od bryzgów wody dwóch mężczyzn. Byli zbyt daleko, abym rozpoznał twarze, widziałem tylko ich sylwetki i motorówkę, która wyraźnie zmierzała w naszym kierunku.

– Czy Szara Sowa widzi numery wymalowane na hałaśliwym kanu? – zapytał Winnetou, który znalazł się tuż koło mnie.

Podałem mu lornetkę.

– To kanu z Mikołajek – stwierdził mój przyjaciel. – Znam je. Należy do bladej twarzy nazwiskiem Rudzki. Kieruje on wypożyczalnią sprzętu sportowego. Widzę go za kierownicą. Obok siedzi jakaś druga blada twarz. Zmierzają na Czarci Ostrów.

Zbiegliśmy z pagórka, zrzuciliśmy buty, podciągnęliśmy nogawki spodni. Po chwili ukryły nas przybrzeżne trzciny. Wdrapaliśmy się na łódkę, gdzie siedziała już Monika. Nie opodal, ale jeszcze głębiej w trzcinach, tkwił mój wehikuł.

Wszedłem na ławeczkę łódki i wystawiwszy ostrożnie głowę ponad trzciny rozpocząłem obserwację.

Niebieska motorówka okrążyła wyspę i podpłynęła do brzegu w tym samym miejscu, gdzie i ja wczoraj wyjechałem wehikułem. Jakie to szczęście, że fale rozmyły ślady po kołach mego samochodu, które zapewne zwróciłyby uwagę przybyszów.

Motorówka z wyłączonym silnikiem dobiła do brzegu.

– Niech pani, Moniko, wychyli ostrożnie głowę ponad trzcinami i spojrzy na obydwu mężczyzn – rozkazałem dziewczynie.

– To on. Poznaję go. Blondyn z kawiarni hotelu „Forum" – szepnęła Monika. – Ma na głowie czarny kapelusz, więc włosów nie widać. Ale to na pewno on.

Nasze przewidywania sprawdziły się wcześniej, niż można się było tego spodziewać. Ale czego tu szukał tajemniczy Blondyn?

– Winnetou będzie ich śledził – oświadczył mój przyjaciel, dając nam znak, abyśmy się skryli na dnie łódki.

Miałem zaufanie do swego przyjaciela. Myślistwo, które od lat uprawiał, a także życie w puszczy, nauczyło go cichego poruszania się wśród krzaków i leśnych ostępów.

Prawie pół godziny leżeliśmy na dnie łódki, leciutko kołysanej przez fale. Z wyspy nie dochodził nas żaden dźwięk; szeleściły tylko trzciny, ocierające się o burty łodzi. Potem nagle zawył silnik i po jego warkocie poznałem, że motorówka się oddala, płynąc w kierunku Mikołajek.

W kilka minut później rozchyliły się trzciny i do łódki wskoczył Winnetou.

– Blada twarz nazwiskiem Rudzki – powiedział nam – pozostała w hałaśliwym kanu, a Blondyn zwiedzał wysepkę. Chodził to tu, to tam, zaglądał w każdą dziurę. Ale chyba nie znalazł tego, czego szukał, bo widziałem, jak wzruszył ramionami i wrócił rozczarowany do kanu.

– Winnetou mówił, że motorówka należy do kierownika wypożyczalni sprzętu turystycznego w Mikołajkach. Muszę wiedzieć, kim jest tajemniczy Blondyn. Być może Rudzki nie został poinformowany, czego tamten szukał na wyspie, ale będzie chyba wiedział, z kim tu przypłynął.

– Nie wiem, czy Rudzki zechce wam udzielić informacji – Winnetou sceptycznie odniósł się do mojego pomysłu.

Ale w tym momencie głos zabrała Monika:

– A ja? Zapomnieliście o mnie? Już ja potrafię wypytać tego pana. Powiem mu, że ten Blondyn obiecał mi przejażdżkę po Śniardwach, ale gdzieś mi zniknął. Zrobię się dziewczyną, którą Blondyn poznał w kawiarni w Mikołajkach, a ponieważ nie podał imienia i nazwiska, chcę go odnaleźć.

Pomysł nie był nieprawdopodobny. We wczasowych miejscowościach łatwo zawiera się znajomości bez wielkich konwenansów.

– Szara Sowa popłynie do Mikołajek, a Winnetou odprowadzi kanu do Niedźwiedziego Rogu – zdecydował mój przyjaciel. – Tam też się spotkamy.

W dwie godziny później byłem już z Moniką na ulicach Mikołajek. Zapytaliśmy o wypożyczalnię sprzętu turystycznego i Monika udała się samotnie pod wskazany adres, a ja oczekiwałem na nią w wehikule zaparkowanym na sąsiedniej ulicy. Monika naciągnęła na głowę rudy skalp, w którym wyglądała bardzo powabnie.

Wróciła jednak rozczarowana.

– Rozmawiałam z Rudzkim, który okazał się bardzo sympatyczny i gadatliwy – opowiadała. – Chciał się nawet zaofiarować, aby zastąpić Blondyna i pokazać mi Śniardwy. Robię wielkie wrażenie w tej rudej peruczce, prawda?

– Do rzeczy, koleżanko – burknąłem.

– Tak jest, szefie. Rudzki, niestety, nie zna imienia i nazwiska Blondyna. On przyjechał do Mikołajek dziś wczesnym rankiem, prawdopodobnie z Warszawy, ponieważ ma fiata z warszawską rejestracją. Przyszedł do wypożyczalni sprzętu turystycznego i zapytał, czy ktoś, oczywiście za pieniądze, nie popływa z nim po Śniardwach. Twierdził, że w lecie odwiedzi go grupka przyjaciół z zagranicy, wodniaków, i chciałby się już teraz zorientować, gdzie będą mogli organizować biwaki, i w ogóle był ciekaw, jak wyglądają Śniardwy. Obejrzał wysepkę; orzekł, że świetnie się nadaje na biwak, i jeśli jego przyjaciele zdecydują się przyjechać do Polski, co nie jest wcale takie pewne, zaproponuje im to miejsce na kilkudniowy pobyt. Potem wrócili do Mikołajek, Blondyn zapłacił za przejażdżkę po jeziorze i odjechał.

– No cóż – mruknąłem – nie ulega wątpliwości, że Blondyn przypłynął tutaj

z polecenia Schreibera. Odnoszę wrażenie, że Winnetou miał rację. Lustracja wysepki rozczarowała Blondyna. Zapewne nie znalazł tam tego, czego szukał, dlatego przed rozstaniem z Rudzkim zaznaczył, że nie jest pewne, czy jego zagraniczni przyjaciele w ogóle tu przyjadą latem. Jednocześnie pozostawił sobie otwartą furtkę na wypadek, gdyby Schreiber kazał mu tu przybyć powtórnie, i to z jakimiś cudzoziemcami. Wówczas Rudzki nie zdziwi się, jeśli jeszcze raz poproszą go o wynajęcie motorówki. Ale to będzie przypuszczalnie dopiero latem, mamy więc trochę czasu, aby się nad tą sprawą zastanowić.

Okrężną drogą przez Ruciane powróciliśmy do Niedźwiedziego Rogu, gdzie miał czekać na nas Winnetou. Zatrzymałem samochód przed willą, w której wczorajszego wieczora paliło się światło. Na podwórzu willi nie było już pięknego „BMW Turbo", okna zakrywały okiennice. Winnetou przyszedł do nas znad brzegu jeziora.

– Mecenasowa odjechała do Warszawy – wyjaśnił. – Razem z Dudusiem wciągnęliśmy łódkę do szopy. Mecenasowa zamknęła dom i pożegnali mnie. Namawiałem mecenasową, aby jeszcze pozostała w Niedźwiedzim Rogu, obiecałem, że poznam ją z wielkim poszukiwaczem przygód, zwanym Szarą Sową, ale Dudusiowi bardzo się śpieszyło.

Coś mnie tknęło. Przypomniałem sobie wczorajszy wieczór w Niedźwiedzim Rogu, „BMW Turbo" na podwórzu mecenasowej, białą łódkę wyciągniętą na brzeg. Czy ktoś, kto przyjeżdża wiosną na taki krótki weekend, od razu wyciąga łódkę z szopy, i to w deszczowy, zimny dzień, gdy na jeziorze szaleje fala?

– Mój brat, Winnetou, zna może imię i nazwisko owego Dudusia?

– Oczywiście. Nazywa się Waldemar Batura. Czy Szarej Sowie coś się stało? Czemu tak przybladł? – zaniepokoił się Winnetou.

Wycedziłem przez zaciśnięte zęby:

– Mój największy wróg, poszukiwacz skarbów i handlarz antyków, Waldemar Batura, był na Czarcim Ostrowie przed nami, a potem pożyczył tę samą łódkę mojemu bratu Winnetou. Odjechał śpiesznie, gdy dowiedział się, że i ja za chwilę zjawię się w Niedźwiedzim Rogu.

Winnetou złapał się za głowę.

– Byłem gadatliwy jak stara skwaw.

– Jak młoda skwaw – spojrzałem surowo na Monikę. – Bo to ta młoda skwaw poinformowała Baturę, że interesuje mnie Fort Lyck.

Monika wcale się nie przejęła tą sprawą.

– Po co się pan gniewa, szefie? przecież na tej wysepce nie ma nic ciekawego. Przekonał się pan o tym. Tam naprawdę nic nie ma.

Milczałem. Nie byłem bowiem tego tak pewien jak ona.

(Cdn.)

KRÓTKIE SPIĘCIA

MIŁOŚĆ ONIEŚMIELA...

„Lubię pewną dziewczynę, a może nawet więcej niż lubię. Patrzę na nią całymi godzinami, a ona tego nie dostrzega. Kiedy obok niej przechodzę, moje ruchy stają się sztywne. Kiedy z nią rozmawiam, rumienię się, zacinam i plączę. Staram się to opanować, jednak nie mogę. Na szkolnych zabawach z innymi dziewczynami tańczę, a z nią nie mogę. Dużo razy w siebie wmawiałem: „Idź, nie wstydź się, baranie, przecież to dziewczyna, z którą codziennie obcujesz". Jednak coś mnie powstrzymuje i nie mogę kroku zrobić w jej stronę. Zabawa się kończy, a ja stoję niezdecydowany, a potem w nocy myślę o tym i płaczę nad swoją bezradnością..."

(z listu do redakcji)

Takie zmartwienia miewa niejeden i niejedna z Was. Chciałbym, żebyście o tym wiedzieli. Chciałbym, żeby dziewczyna zrozumiała chłopca, który w jej obecności zacina się, czerwieni, staje się „głupi". Chciałbym, żeby z kolei chłopiec zrozumiał dziewczynę, która przy nim (a on może myśli, że zawsze) jest jak mumia.

Różnie ludzie reagują na miłość. I różne są rodzaje miłości. Ale chyba ci, którzy reagują onieśmieleniem, są najbardziej... no najbardziej... I miłość, która paraliżuje, jest najbardziej...

Co „najbardziej"? Trudno powiedzieć. Nie chcę użyć słów: „głęboka", „subtelna", bo są to słowa bez wyraźnego znaczenia. „Poetyczna" brzmi trochę śmiesznie. Ale chyba te trzy słowa razem dają pojęcie o rodzaju miłości onieśmielającej, która nawet z najinteligentniejszego człowieka robi ofiarę, z energicznego – fajtłapę, z odważnego – tchórza.

Gdy mój przyjaciel miał dwadzieścia lat, zawładnęła jego wyobraźnią dziewczyna, z którą tylko dwa razy rozmawiał. Do dziś nie rozumie, jak to było możliwe, że czasami mijając ją na ulicy, nie mógł zdobyć się na to, by do niej podejść, zapominał nawet ukłonić się. Jej widok paraliżował go. Ona pewnie poczytywała go za gbura, a on do dziś, myśląc o tych chwilach, gdy był pod jej urokiem, czuje powiew... niesamowitości. „Gdybym znowu kiedyś..." mówi i przerywa, bo wie, że już nigdy czegoś takiego nie przeżyje. Nigdy, bo tak potężne onieśmielenia zdarzają się (nie wszystkim) tylko w młodości.

Piszę o tym nie do oczarowanych i onieśmielonych, lecz przede wszystkim do tych, którzy oczarowali i onieśmielili. Nie bądźcie jak ta gapa, która oczekując na księcia z bajki nie zauważyła, że nie opodal w szarej pelerynie stoi książę, który, zaczarowany, nie potrafi ani słowa z siebie wydobyć, ani kroku postawić...

Stefan Garczyński

GOŹDZIK DLA MAMY

dokończenie ze str. 1

Prawda! Mieliśmy ze szkołą iść do teatru. Zupełnie o tym zapomniałem. Ale mama pamiętała... I kolację też mi przygotowała...

Nagle przyszła mi do głowy myśl...

Może jutro uda mi się gdzieś zdobyć pieniądze na bilet, a dzisiaj mama otrzyma ode mnie kwiaty... Wziąłem pieniądze ze stołu i za chwilę byłem w znajomej kwiaciarni.

– Proszę pani! – zawołałem zdyszany. – Zwracam te 3 złote i dziękuję... A teraz proszę jeszcze jeden goździk.

W kilkanaście minut później byłem w szpitalu, gdzie pracowała mama. Portier zatrzymał mnie w przejściu.

– Ja do pani doktor Milskiej – powiedziałem. – Proszę zadzwonić na oddział III i powiedzieć, że przyszedł syn...

Po chwili nadeszła mama.

– Co się stało? – zapytała zaniepokojona.

– Nic, mamo! – uśmiechnąłem się. – Przecież dzisiaj Dzień Kobiet. Wszystkiego najlepszego ci życzę i jeszcze to...

– Goździk? Jaki ładny... – ucieszyła się mama. – Najpiękniejszy ze wszystkich, jakie dziś dostałam.

Krzysztof

NAJGŁĘBIEJ.....

powodowało stopniowe, a nie raptowne wypłynięcie statku?

Na wszystko znaleziono sposób. Pływaki batyskafu wypełniono benzyną – lżejszą od wody, ale bez porównania mniej ściśliwą niż powietrze (dzięki temu można się było nie obawiać zgniecenia). Pozostawiono jednak kilka komór wypełnionych powietrzem: dzięki temu obciążony balastem statek pływał jeszcze po powierzchni wody. Dopiero, gdy wszystko już było gotowe do zanurzenia, wypełniano i te komory benzyną. Balastem zaś był śrut żelazny umieszczony w zbiorniku, którego klapa była uchylana za pomocą elektromagnesu. Dzięki temu można było wypuszczać śrut żelazny tak małymi porcjami, jak tylko to było potrzebne. Szczególną uwagę oczywiście poświęcano gondolom, które musiały wytrzymać tak ogromne ciśnienie. W batyskafie „Trieste" – w tym modelu, który opuścił się na głębokość jedenastu kilometrów – gondola miała niespełna dwa metry średnicy, a grubość jej ścian wynosiła od 12 do 18 centymetrów. Masa gondoli bez wyposażenia wynosiła 12 ton.

Nic dziwnego, że chociaż batyskaf mógł w pewnym zakresie przemieszczać się wzdłuż dna morskiego (miał bowiem silnik elektryczny, który napędzał śrubę), jego możliwości „podróżowania" było nader ograniczone. Dlatego też pomyślano o budowie innego rodzaju statku podmorskiego. Po dłuższych próbach statek taki – określany, ze względu na swój kształt, jako „głębinowy talerz" – został przed niespełna dwudziestu laty skonstruowany. Mam na myśli oczywiście pierwszy jego model, do powstania którego przyczynił się znany francuski badacz głębin morskich Cousteau; powstało później wiele jego odmian.

Istnieją już dzisiaj całe podwodne laboratoria, w których ludzie przez dłuższy czas mogą przebywać, zmieniając w określonym zasięgu miejsce pobytu i głębokość zanurzenia (która zresztą nie przekracza kilkuset metrów). Takim statkiem – laboratorium jest np. radziecki statek „Bentos-300", jedna z licznych radzieckich konstrukcji do prowadzenia badań podwodnych.

I tak powracamy do „Podwodnej odysei". W filmie tym statek badawczy na powierzchni traci łączność z laboratorium, na pomoc sprowadza się taki właśnie „podwodny talerz". Poszukiwania pełne napięcia kończą się odnalezieniem wraków i wyratowaniem jego załogi – a chociaż znalazło się w filmie kilka scen mało prawdopodobnych, to jego wielką zaletą jest wspaniale uchwycone piękno, powaga, majestat podwodnego świata. Zachęcam tych, którzy nie byli na filmie, aby – jeśli jeszcze będą mieli okazję – jednak go obejrzeli. Zachęcam też wszystkich, którzy interesują się tymi sprawami, aby czytając prasę zwracali uwagę na notatki o badaniach głębin. Być może życie na naszej planecie zależeć będzie właśnie od tego, co ludzie znajdą tam głęboko pod wodą.

Stefan Weinfeld

Laboratorium głębinowe podczas badań dna morskiego

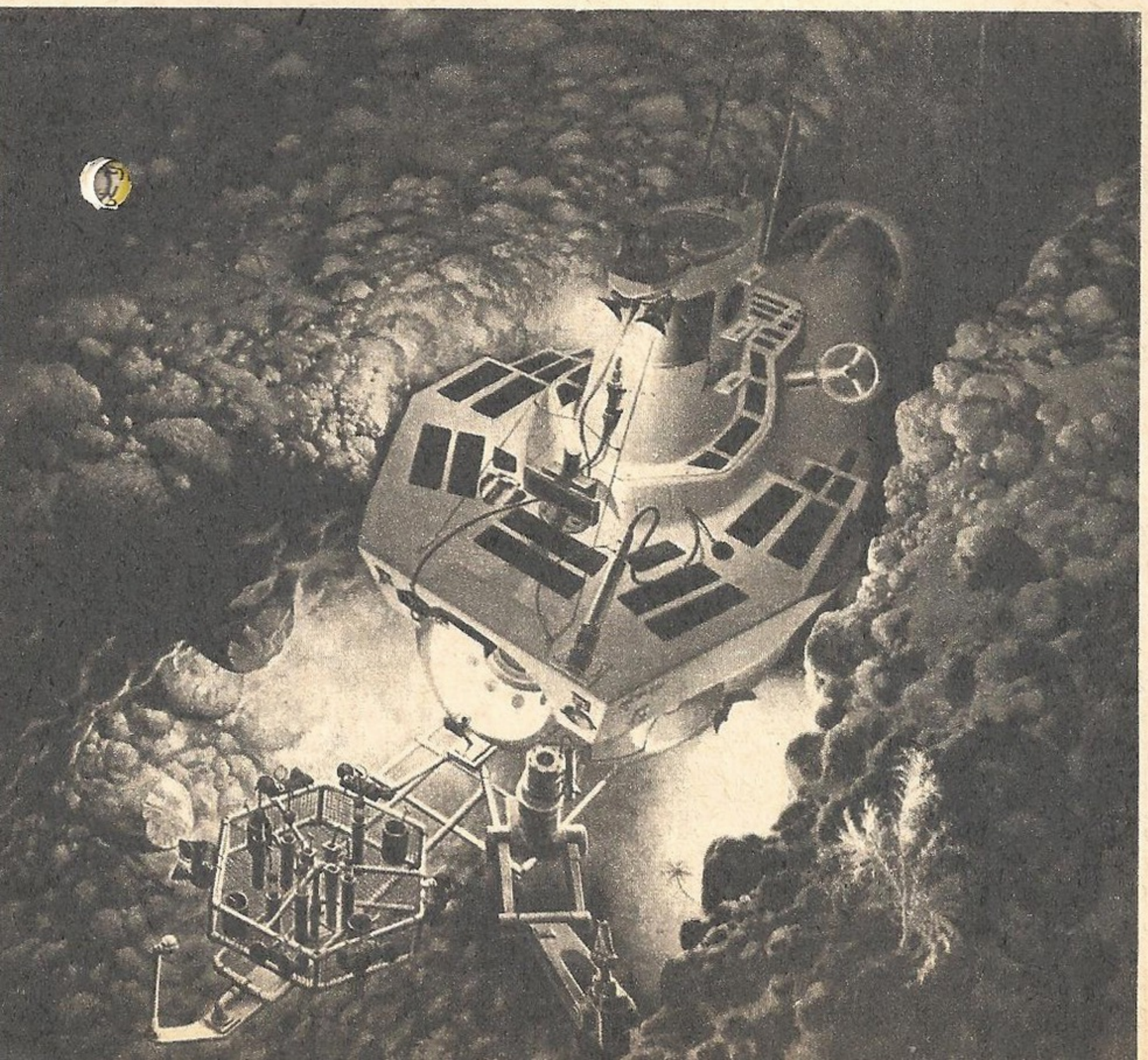

OD SŁOWA

„Proszę Cię, Kochana Haniu..."

Z nadsyłanych przez Was listów wynika, że nie zawsze się orientujecie, kiedy w nich używać wielkich, kiedy zaś małych liter. Otóż w korespondencji, a także w laurkach, dedykacjach itp. częściej się posługujemy wielkimi literami niż w innych formach wypowiedzi. Czynimy to ze względów uczuciowych i grzecznościowych.

Wielkimi literami początkowymi pisze się w wypowiedziach korespondencyjnych nie tylko rzeczowniki oznaczające osoby, o których mowa, ale także określające je przymiotniki i zaimki. A zatem nie tylko w nagłówku listu, ale i w jego tekście będziemy pisać: „Droga Babciu, przesyłam Ci serdeczne życzenia imieninowe". Albo: „Dziękujemy bardzo Szanownej Pani Profesor (może być i: Profesorce) za opiekę nad nami podczas wycieczki do Warszawy". Albo: „Proszę Cię, Kochana Haniu, przekaż ukłony ode mnie Swoim Rodzicom!" Także: „Droga Redakcjo!"

Uwaga: Nigdy się nie używa wielkiej litery pisząc o sobie samym.

Idę do dyskoteki

Pytacie, jak pisać wyraz dyskoteka. Otóż – małą literą i bez cudzysłowu, tak jak wszystkie inne rzeczowniki pospolite. Spotykana dość często w Waszych listach pisownia „Dyskoteka" jest błędna. Przy sposobności przypominam, że można mówić i pisać zarówno: idę do dyskoteki (jeżeli ma się na myśli lokal, w którym ona się mieści), jak: idę na dyskotekę (jeżeli ma się na myśli imprezę).

Tylko „pod adresem"!

Mówimy i piszemy tylko – „pod adresem", bo zwrot „na adres" jest rusycyzmem. Pod jakimś adresem można nie tylko coś posłać, można także pod nim mieszkać. Ten zwrot może więc oznaczać nie tylko kierunek, lecz także i miejsce.

Do Suwałek czy do Suwałk?

Stałym Czytelniczkom z woj. suwalskiego, które o to pytają, wyjaśniamy, że przy odmianie nazw miejscowości zasadniczo decyduje zwyczaj miejscowy. Jeżeli więc na Suwalszczyźnie słyszy się powszechnie formę – do Suwałk, należy ją uznać za poprawną. Trochę inaczej będzie z odmianą nazwy miejscowości Jeziorki. Jest ona bowiem prawie dosłownym po-

DO SŁOWA

wtórzeniem rzeczownika pospolitego: jeziorko, w l. mnogiej – jeziorka, dopełniacz – tych jeziorek. A zatem i dopełniacz l. mn. od nazwy miejscowości Jeziorki powinien brzmieć: tych Jeziorek.

O florze, faunie i panice

Pierwszy z tych wyrazów oznacza roślinność lub szatę roślinną jakiegoś obszaru. Drugi – świat zwierzęcy. Trzecim posługujemy się mając na myśli nagłe, niepohamowane, najczęściej nieuzasadnione przerażenie, ogarniające zwykle wielką grupę ludzi. Istnieją także przymiotniki: paniczny i panikarski, określające albo kogoś poddającego się panice, albo takiego, który ją wywołuje i szerzy. Wszystkie trzy pochodzą z języków obcych: pierwsze dwa z łaciny, trzeci ze starogreckiego i wszystkie były pierwotnie imionami własnymi, nazwami bóstw. Flora była w mitologii rzymskiej boginią kwiatów i wiosny. Faun – bogiem pól, lasów i łąk, opiekunem pasących się na nich trzód i ich pasterzy. Pan zaś – według mitologii greckiej – to bóstwo opiekujące się, podobnie jak Faun, pasterzami i trzodami. Jego wygląd nie był groźny, lecz śmieszny: wyobrażano sobie Pana jako człowieka z koźlimi nogami, różkami na głowie, kozią bródką i ogonem. Chętnie grywał na flecie. Przestrach mógł wzbudzić tylko jego przeraźliwy głos, zwłaszcza gdy się rozległ nagle w leśnej ciszy.

Czy można mieć coś wypisane na czole?

Dość często jest w użyciu wyrażenie oznaczające ujemny sąd o kimś „on to ma wypisane na czole" (czyli jest np. głupi lub złośliwy), innymi słowy: sam wygląd jego czoła wskazuje, że jest właśnie taki. To wyrażenie na pozór nie ma sensu, bo przecież nigdy nie pisze się na czole (jeżeli ściągaczki, to... na dłoniach). Staje się ono jednak zrozumiałe, gdy sobie przypomnimy jedną z dawnych kar sądowych: piętnowanie przestępcy skazanego za jakąś zbrodnię, czyli wypalanie mu lub wytłaczanie na czole (lub na policzkach) specjalnego, z dala widocznego znaku. Ta okrutna kara była stosowana w niektórych krajach jeszcze w połowie ubiegłego wieku. Dzisiaj można co najwyżej napiętnować kogoś – w przenośni – słowami.

Witold Kochański

Rozrywki
– Zdzisław Nowak
Porady praktyczne
– Grażyna Minkowska

co kto lubi

OKULARY NIE SZPECĄ! Wystarczy przyjrzeć się załączonym ilustracjom, aby podzielić ten pogląd. Sporo dziewcząt uważa jednak, że noszenie szkieł przepisanych przez okulistę pozbawi je urody. Wówczas szkła korygujące wzrok wędrują do teczki, a ich właścicielka wysila oczy, aby cokolwiek dojrzeć na tablicy, myli się przy przepisywaniu, zaś po paru godzinach przebywania w szkole czuje ból głowy. Piekące, zaczerwienione powieki, często łzawiące, zmęczone oczy – nikomu z pewnością uroku nie dodają. Są i takie dziewczęta, które w obawie przed noszeniem okularów – nie przyznają się w domu do dolegliwości i kłopotów w szkole związanych z wadami wzroku. Jest to oczywiście postępowanie bardzo lekkomyślne. Wcześnie wykryte wady wzroku koryguje lekarz i dzięki odpowiednim szkłom może doprowadzić do poprawy wzroku. Wasza rola – to dobranie takiego kształtu oprawki, aby okulary były twarzowe i dopasowane do rysów fizjonomii. Wówczas mogą spełniać funkcje nie tylko leczące wzrok, ale podkreślić urodę.

LISTY Z JEDNYM PYTANIEM

Jestem chłopcem, więc się krępuję prosić o poradę kosmetyczną. Ale wreszcie zdobyłem się na odwagę, bo mój wygląd, a ściślej cera na twarzy, pełna wyprysków, odstrasza ode mnie nawet kolegów, a cóż dopiero koleżanki. Co mam robić?

Jeden z wielu – Adam

Cierpisz na tzw. trądzik młodzieńczy. Radykalnego sposobu na zlikwidowanie wyprysków nie ma. Należy jednak w tym okresie szczególnie dbać o higienę osobistą. Myć dokładnie całe ciało ciepłą wodą z mydłem „Oro" dwa razy dziennie. Nie wyciskać krost. Natomiast przecierać je watką namoczoną w płynie „Acnosan" lub w płynie przeciwtrądzikowym „Non stop". Raz w tygodniu dobrze jest położyć na skórę twarzy maseczkę z 2 dag drożdży rozrobionych wodą i mlekiem. Przypominamy wszystkim nastolatkom mającym kłopoty z cerą o książce dr Mariana Zajfena pt. „Poradnik kosmetyczny dla młodzieży".

szyjemy same

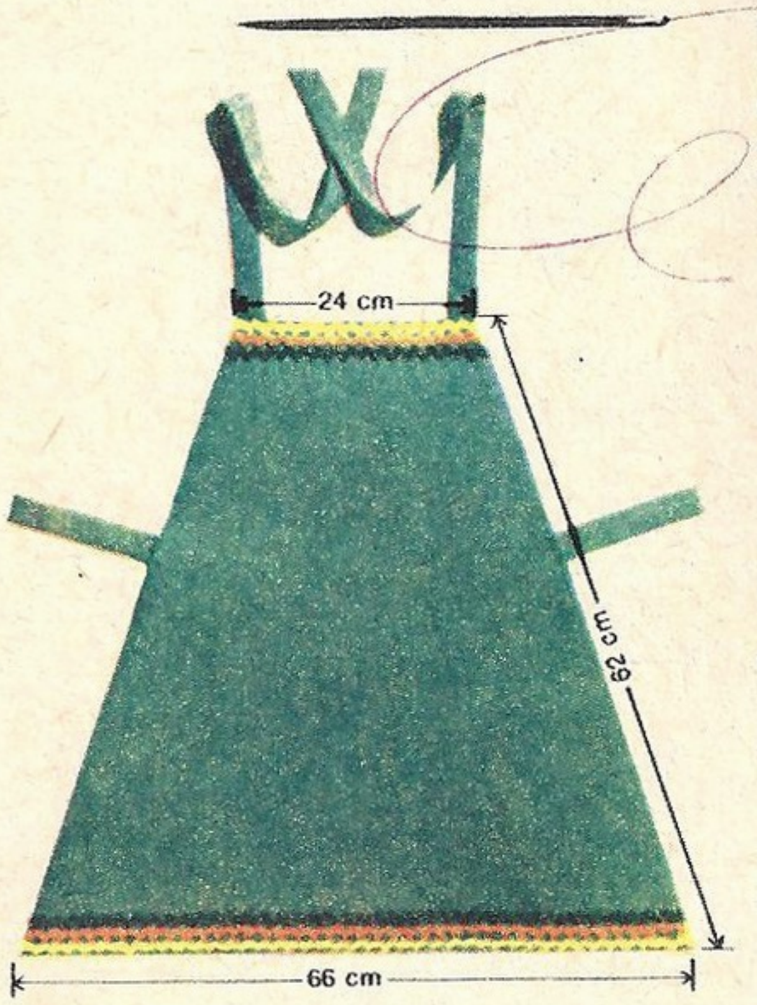

Oto prosty fartuszek – przydatny przy wykonywaniu wielu czynności gospodarczych. Fartuszek powinien być ładny, estetyczny. Szycia przy nim niewiele. Która z Was nie ma maszyny do szycia, może uszyć go w ręku. Na fartuszek potrzeba 90 cm tkaniny: płócienko, kolorowy kreton, teksas, len – szerokości 80 cm.

Fartuch ma kształt trapezu o wymiarach: szerokość góry: 24 cm; długość boków – 62 cm; szerokość dołu – 66 cm. Jeśli chcesz mieć fartuch obszerniejszy lub dłuższy, formę tę możesz (odpowiednio do swoich wymiarów) powiększyć.

Tkaninę (90 cm długości, 80 cm szerokości) składamy wzdłuż na pół. Odmierzamy od środka złożenia 12 cm i wpinamy szpilkę oznaczając ten punkt. Po linii złożenia odmierzamy w dół 62 cm, a następnie wpinamy szpilkę od tego miejsca 33 cm w bok. Łączymy te dwa punkty oznaczone szpilkami na materiale kredą lub mydłem krawieckim. Krojąc fartuszek zostawiamy wokoło po 2 cm na obręb. Z pozostałego materiału kroimy szelki: są to dwa pasy szerokości ok. 7 cm, długości 90 cm, do wiązania w talii. Szycie zaczynamy od obrębienia góry i dołu. Następnie zszywamy pasy do wiązania, które trzeba przestębnować, by były mocniejsze. Przyszywamy u góry wiązanie. I jeszcze sprawa ozdobienia góry i dołu fartuszka. Mogą to być kolorowe tasiemki, haft, koronka bawełniana lub można ozdobić fartuch tylko podwójną lub potrójną stębnówką, kolorowymi, grubymi nićmi.

co kto woli

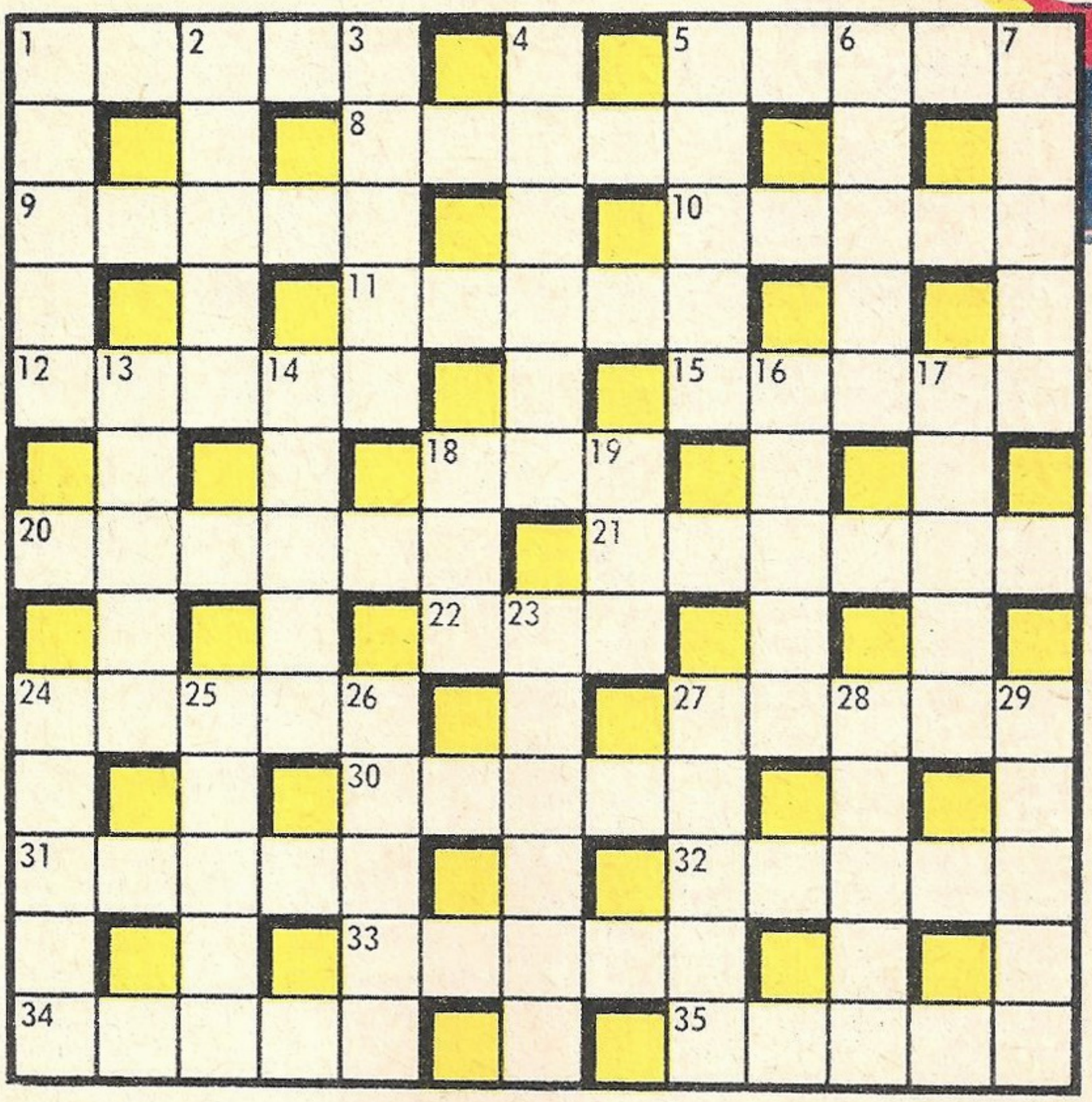

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1) rzeźba wykonana w metalu, kamieniu lub drewnie, przedstawiająca postać ludzką, 5) ptak drapieżny, niegdyś używany przez myśliwych do polowań, 8) automat wykonujący skomplikowane czynności, zastępujący pracę człowieka, 9) najdłuższe i najsztywniejsze pióro w skrzydłach ptasich, 10) rodzaj konstrukcji budowlanej, złożonej z krzyżujących się belek, sztywno połączonych (jako konstrukcja nośna stosowana do fundamentów, stropów itp.), 11) część twarzy, 12) maszyna robocza do podnoszenia cieczy na wyższy poziom, 15) część Warszawy (albo stolica jednego z państw europejskich), 18) zaostrzony drąg, 20) miasto niedaleko Poznania (w latach 1918–19 znane z ciężkich walk powstańców wielkopolskich z Niemcami), 21) europejskie państwo wyspiarskie, 22) skorupiak, 24) biały proszek stosowany jako składnik zapraw murarskich, także do bielenia ścian, pni drzew itp., 27) część ciała, 30) miejsce pracy urzędników, 31) jednostka monetarna Stanów Zjednoczonych, 32) urządzenie radiolokacyjne stosowane najczęściej w nawigacji, 33) największe miasto Grecji, 34) samica konia, 35) faza w rozwoju zwierzęcia od opuszczenia osłon jajowych do osiągnięcia przez metamorfozę dojrzałości (np. gąsienica, pędrak, kijanka).

Pionowo: 1) narośl na błonie śluzowej nosa, 2) miasto koło Gdańska, stary gród pomorski, ośrodek przemysłu metalowego i drzewnego, 3) narzędzie do pielenia chwastów, 4) psi naszyjnik, 5) przegroda dzieląca budynek na kondygnacje, 6) manna, 7) republika związkowa ZSRR leżąca nad Morzem Bałtyckim, 13) „Halka" St. Moniuszki, 14) instrument muzyczny, dęty, o niskiej skali, składający się z dwóch metalowych rur, 16) specjalny sprzęt, na którym leżą książki, 17) miasto niedaleko Tczewa, leży nad Wisłą, 18) roślina o jadalnej cebulce i liściach używanych jako przyprawa, 19) mieszanina używana do pieczętowania listów, paczek itp., 23) talizman, maskotka, 24) krajobraz, pejzaż, 25) roślina drzewiasta o smukłym nierozgałęzionym pniu, występuje w lasach tropikalnych, 26) to, co często wisi na ścianie, 27) małpa wąskonosa z rodziny człekokształtnych, żyje w lasach Afryki równikowej, 28) rodzaj odznaczenia honorowego, 29) główna tętnica ciała.

7	4	5	6	2
9	■	7	■	3
7	8	6	9	7
3	■	8	■	4
2	6	9	4	7

LABIRYNT CYFROWY

Wszyscy wiedzą zapewne, że labirynt to skomplikowana gmatwanina różnych dróg. Także w naszej łamigłówce wiele dróg wiedzie do celu, nam chodzi jednak o odnalezienie takiej, która da nam określoną sumę. Od pola z barwną cyfrą 7 (u góry rysunku) aż do drugiego pola z barwną cyfrą (u dołu) należy przebyć dziewięć pól, które złożą się na sumę 65 (naturalnie, w skład tej sumy wchodzą także barwne siódemki z pola pierwszego i ostatniego).

ILE TRÓJKĄTÓW?

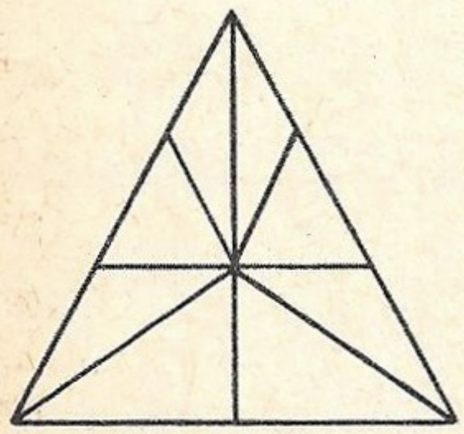

Tym razem na naszym rysunku należy wyszukać wszystkie trójkąty (oczywiście te większe, mniejsze i najmniejsze). Liczyć prosimy uważnie, gdyż w zadaniu o omyłkę wcale nietrudno. Czy potraficie ustalić dokładnie tę liczbę?

WĄTRÓBKA – szybkie danie

Nie wszyscy lubią wątróbkę i nieczęsto się ją jada. Ale nie ma potraw niesmacznych, są tylko źle przyrządzone. Wątróbka należy właśnie do takich potraw, które można „zepsuć" lub zrobić z nich smakołyk kulinarny. Wątróbka zawiera wiele witamin, jest niekłopotliwa w przygotowaniu, może więc być szybkim, gorącym daniem na kolację. Aby była miękka i straciła swój specyficzny zapach, zanurzamy ją na kilka minut w mleku. Następnie smażymy ją na patelni na rozgrzanym tłuszczu, dodajemy trochę wody, tak żeby puściła sos (jeśli chcemy, aby sos był gęstszy, zaprawiamy go łyżeczką mąki).

Pod przykryciem trzymamy wątróbkę na ogniu kilka minut. Możemy dodać posiekaną cebulę (jeśli ktoś lubi). Gotową wątróbkę jemy z chlebem i surówką z kiszonej kapusty lub z gorącymi ziemniakami.

giełda hobbistów

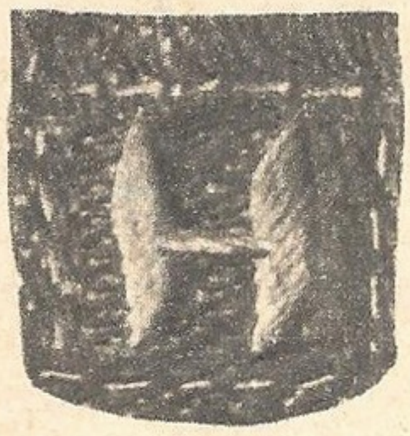

Lista nr 98

1. *Iwona Adamska*, lat 14, chemia, sport, fotosy – ul. Zielona 48/1, 78-400 Szczecinek
2. *Sławomir Antkowiak*, lat 12, maskotki, widokówki (psy, koty) – ul. Lutycka 23, 64-100 Leszno
3. *Bożena Artwik*, lat 15, książki, widokówki, etykietki – ul. Wiejska 8/1, 49-250 Otmuchów
4. *Alicja Bacewicz*, lat 13, fotosy, widokówki – ZSRR, Wilnius, ul. Subocziaus 102/3
5. *Jarosław Bacewicz*, lat 10, reklamówki samochodów, nalepki – ZSRR, Wilnius, ul. Subocziaus 102/3
6. *Jadwiga Balcerowska*, lat 15, zagadki matematyczne, fotosy piosenkarzy – 27-107 Rzeczniów, woj. radomskie
7. *Aleksandra Banasiak*, lat 15, widokówki ze zwierzętami, maskotki – Cygany, 82-515 Krzykosy
8. *Zofia Baran*, lat 15, medycyna, matematyka, fotosy – ul. Mickiewicza 3/21, 37-100 Łańcut
9. *Otmar Bensz*, lat 12, starocie (lampy naftowe, szable, świeczniki) – ul. Główna 15a, 46-046 Ligota Turawska
10. *Wojciech Bernacki*, lat 13, fotosy samochodów – ul. Nadrzeczna 21, 57-521 Gorzanów
11. *Anna Biekisz*, lat 14, sport, filatelistyka, szydełkowanie – Kiersity 13, 11-217 Rodnowo
12. *Wiesława Błasiak*, lat 16, anegdoty, znaczki metalowe, tarcze szkolne – ul. Słowackiego 35/2, 27-600 Sandomierz
13. *Mirosław Błaszczyk*, lat 14, fotosy, widokówki, znaczki – Trębki, 09-551 Nowa Wieś
14. *Beata Bochniewicz*, lat 12, widokówki, odznaki, opakowania po czekoladach – ul. Głowackiego 8/85, 39-200 Dębica
15. *Jolanta Borek*, lat 15, geografia, widokówki, znaczki – Czerwony Bór, 18-316 Wygoda
16. *Teresa Borowska*, lat 14, j. rosyjski, sport, szydełkowanie – Chodory 10, 18-107 Rynki
17. *Dorota Boślak*, lat 12, piosenki, fotosy – Glinka 68, 34-371 Ujsoły
18. *Maryla Bubak*, lat 14, chemia, fizyka, widokówki – Krześnica kol. 2, 74-405 Sarbinowo
19. *Krystyna Burczyk*, lat 12, filatelistyka, widokówki – 83-243 Szlachta 26
20. *Małgorzata Byrska*, lat 13, film, filatelistyka – Osiedle XX-lecia PRL, bl. 12/3, 34-100 Wadowice
21. *Czesława Dogiel*, lat 13, widokówki – ul. Hanki Sawickiej 3/18, 73-102 Stargard Szczeciński
22. *Edyta Domska*, lat 15, Indianie, balet, konie – ul. Wejcherowska 12/2, 81-065 Gdynia
23. *Jaga Dubrowska*, lat 14, j. angielski, fotosy – ul. Podhalańska 47, 34-410 Rabka
24. *Jan Duszeńko*, lat 11, fotosy drużyn piłkarskich, widokówki – ul. Kręta 19, 59-400 Jawor
25. *Danuta Dybczyńska*, lat 12, filatelistyka, szydełkowanie – ul. Paderewskiego 18, 32-630 Wilamowice
26. *Dorota Dymek*, lat 11, historia, film, widokówki – ul. Os. Piastowskie 3a/1, 59-400 Jawor
27. *Agata Feliksiak*, lat 11, widokówki, opakowania po czekoladach – Psary 360, 32-545 Karniowice
28. *Wiesław Gabryszuk*, lat 13, filatelistyka, prospekty, naklejki – ul. Podleśna 8, 17-240 Czeremcha
29. *Anna Garbacz*, lat 14, literatura młodzieżowa, widokówki ze zwierzętami – ul. Żeromskiego 16, 23-100 Bychawa
30. *Anna Goch*, lat 10, etykietki, widokówki, odznaki – Majdan-Staromiejski, 23-103 Dębina
31. *Krystyna Godlewska*, lat 15, gimnastyka akrobatyczna, film – 18-304 Srebrna, woj. Łomża
32. *Maciej Godlewski*, lat 13, filatelistyka – Instytut Matki i Dziecka, Pawilon II, ul. Polna 4, 34-410 Rabka-Zdrój
33. *Elżbieta Gorzyńska*, lat 14, moda, pocztówki z psami, widokówki – ul. Przemysłowa 27a/14, 61-579 Poznań
34. *Mariola Grożawska*, lat 14, książki przygodowe, pocztówki – Plac 1 Maja 21/3, 06-300 Przasnysz
35. *Lilia Guła*, lat 14, malarstwo, książki, piosenki – Czaczki Wielkie, 18-107 Rynki
36. *Katarzyna Jakubowska*, lat 13, taniec, szydełkowanie, widokówki – ul. Krasińskiego 4a/37, 99-300 Kutno
37. *Renata Jancarzyk*, lat 12, widokówki, szydełkowanie – ul. Ogrodowa 7, 32-630 Wilamowice
38. *Małgorzata Janczyk*, lat 12, filatelistyka, fotosy – Wygoda 17/19, 97-371 Wola Krzysztoporska
39. *Ewa Jelonkiewicz, lat 16, muzyka poważna, historia sztuki – Os. Kopernika 1/39, 32-100 Proszowice*
40. *Czesława Jezierska*, lat 12, widokówki, filatelistyka – Lit. SRR, rej. Wileński, p-ta Kajrany, wieś Gajluny
41. *Marta Jędrzejczyk*, lat 15, gitara, widokówki – ul. Bieżanów 55/2, 30-860 Kraków
42. *Bogusława Jucha*, lat 14, fotosy, widokówki – Przybówka 62, 38-471 Wojaszówka
43. *Danuta Jurkiewicz*, lat 14, geografia, maskotki – ul. M. Konopnickiej 17/11, 37-200 Przeworsk
44. *Jolanta Karbowniak*, lat 14, fotosy, widokówki – Gawłów 46, 05-920 Chodaków
45. *Mariola Kleska*, lat 13, moda, fotosy, piosenki – Siomki 54, 97-371 Wola Krzysztoporska
46. *Joanna Kłosowska*, lat 14, książki, muzyka młodzieżowa – ul. Przędzalniana 4/4, 15-688 Białystok
47. *Lucyna Kolasa*, lat 14, j. angielski, breloczki, proporczyki – Tomice 105, 34-100 Wadowice
48. *Małgorzata Kondraciuk*, lat 13, widokówki – ul. Ługowa 27, 21-500 Biała Podlaska
49. *Małgorzata Kopeć*, lat 15, zwierzęta, kwiaty, muzyka – ul. Mickiewicza 59, 97-300 Piotrków Trybunalski
50. *Bogusław Kowalski*, lat 11, sport, film, modele samolotów – ul. 1 Maja 4a/2, 59-400 Jawor
51. *Elżbieta Kraśniewska*, lat 15, książki fotosy – Kowalewo, 09-206 Słupia
52. *Władysława Krymko*, lat 13, moda widokówki – Płakowice, P.D.Dz., 59-600 Lwówek Śląski
53. *Grażyna Lamot*, lat 11, sport, fotosy, widokówki – ul. Piotra Skargi 13/15, 39-301 Mielec
54. *Joanna Laskowska*, lat 14, przyroda, sport, maskotki – ul. Piastowska 100d/89, 80-358 Gdańsk-Oliwa
55. *Małgorzata Lekowska*, lat 14, zoologia, kultura i religia starożytnej Grecji – ul. Orzeszkowej 1/45, 35-006 Rzeszów
56. *Jolanta Lemańczyk*, lat 13, filatelistyka, fotosy piosenkarzy – 86-251 Starogród, woj. toruńskie

co kto lubi

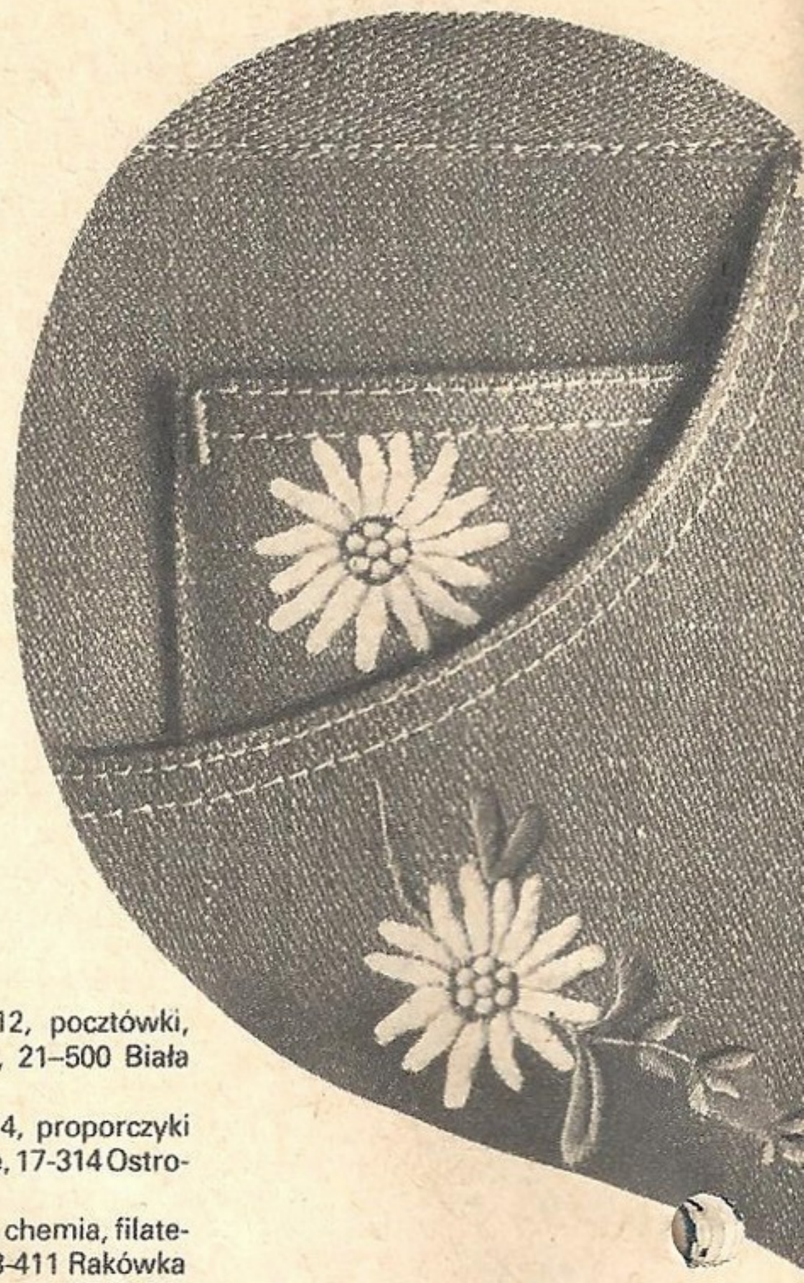

57. *Iwona Lewczuk*, lat 12, pocztówki, znaczki – ul. Graniczna 1, 21–500 Biała Podlaska
58. *Ewa Lubowicka*, lat 14, proporczyki z herbami miast – Klepacze, 17-314 Ostrożany
59. *Urszula Łubiarz*, lat 13, chemia, filatelistyka – Lipowiec Duży, 23-411 Rakówka
60. *Barbara Maj*, lat 13, pocztówki z kwiatami i zwierzętami, proporczyki – ul. Kusocińskiego 3a/75, 26-600 Radom
61 *Beata Małek*, lat 14, fotografia, konie, historia – ul. Grodzka 10/11, 70-560 Szczecin
62. *Elżbieta Matusiak*, lat 12, widokówki, piosenki – Nieporaz 63, 32-550 Alwernia
63. *Anna Mazur*, lat 11, widokówki (psy i koty), etykietki – ul. Kolejowa 28/9, 48-200 Prudnik
64. *Elżbieta Mączyńska*, lat 13, piosenki, widokówki – ul. Szkolna 14a, 62-064 Poznań-Plewiska
65. *Joanna Minda*, lat 12, łyżwiarstwo, piosenki – 27-103 Krzyżanowice
66. *Zbigniew Morawski*, lat 15, sport, zdjęcia samochodów, widokówki – Cygany, 82-515 Krzykosy
67. *Zdzisław Muchowski*, lat 12, fizyka, chemia, pocztówki – ul. Krasickiego 17/8, 81-381 Gdynia
68. *Małgorzata Nieckólo*, lat 12, filatelistyka, piosenkarze – 32-414 Gruszów 95
69. *Adam Niesułowski*, lat 14, filatelistyka – Instytut Matki i Dziecka, Pawilon II, ul. Polna 4, 34-410 Rabka-Zdrój
70. *Marta Nowak*, lat 15, fizyka, chemia, widokówki – ul. Kazimierza W. 55, 27-600 Sandomierz
71. *Andrzej Ostrowski*, lat 12, kolejnictwo, geografia, j. rosyjski – ul. Żmudzka 47/29, 85-028 Bydgoszcz
72. *Ewa Oszmiana*, lat 15, moda, muzyka – pl. Czarnieckiego 16c/9, 69-200 Sulęcin
73. *Aniela Pasikowska*, lat 15, widokówki, odznaki, szydełkowanie – Wierzbie, 99-300 Kutno
74. *Jolanta Pawłowska*, lat 14, książki, muzyka, sport – Duża Cerkwica, 89-430 Kamień Kraj.
75. *Grażyna Petta*, lat 13, medycyna, zoologia, literatura – Lisie Jamy, 83-335 Bonestowo
76. *Monika Pniewska*, lat 12, pocztówki z kwiatami, teksty piosenek – ul. 1 Maja 10/4, 08-400 Garwolin
77. *Anna Poniatowska*, lat 14, teksty piosenek – Jaszczołty, 17-314 Ostrożany
78. *Jolanta Przylepa*, lat 11, widokówki – 23-103 Dębina
79. *Bogusława Rozwadowska*, lat 15, łyżwiarstwo, szydełkowanie, widokówki – ul. Kilińskiego 13, 07-100 Węgrów
80. *Monika Sachar*, lat 15, biologia, pisanie wierszy – ul. Sokołowska 8/7, 01-136 Warszawa
81. *Dorota Sawicka*, lat 14, muzyka, widokówki – wieś Leszno, 99-331 Byszew
82. *Kazimierz Sawicki*, lat 13, motoryzacja, życie zwierząt leśnych – ul. Lecha 3 2/a, 62-200 Gniezno
83. *Ryszard Siedlecki*, lat 14, prospekty samochodów, widokówki – ul. Tarnogórska 30/13, 44-100 Gliwice
84. *Lidia Skoroś*, lat 12, fotosy aktorów i piosenkarzy, widokówki – Łążek, Szkoła Podst. 39-406 Tarnobrzeg
85. *Małgorzata Sobusik*, lat 12, muzyka, balet, widokówki – ul. Kościuszki 12/3, Os. Awaryjne, 42-443 Ogrodzieniec
86. *Elżbieta Sokołowska*, lat 15, siatkówka, maskotki – ul. Dunikowskiego 72/57, Piaskowa Góra, 58-309 Wałbrzych
87. *Katarzyna Stasiuk*, lat 14, rośliny doniczkowe, sport, kalendarzyki, herby miast – ul. Startowa 29e/10, 80-461 Gdańsk-Zaspa
88. *Irena Szuba*, lat 13, zespoły i muzyka młodzieżowa – ul. 25-lecia PRL 38/10, 41-506 Chorzów
89. *Magda Trela*, lat 11, sport, widokówki – ul. Piotra Skargi 13/4, 39-301 Mielec
90. *Maryla Ułanowicz*, lat 13, numizmatyka, malarstwo, fotosy ABBA – [illegible]ska Wielka, 16-324 Janówka
91. *Sławomir Warych*, lat 15, tenis stołowy, znaczki – ul. Bema 1/7, 73-110 Stargard Szczeciński
92. *Monika Wieńch*, lat 15, widokówki, piosenki – ul. Opolska 12, 45-851 Sławice
93. *Barbara Wilk*, lat 14, fotosy, widokówki – ul. Ogrodowa 9, 06-130 Nasielsk
94. *Stanisław Wilk*, lat 15, modelarstwo, filatelistyka – ul. Ogrodowa 9, 06-130 Nasielsk
95. *Bożena Wolak*, lat 14, film, piosenki widokówki – 33-311 Wielogłowy 120
96. *Lilla Woźniak*, lat 15, poezja, łyżwiarstwo, zoologia – Leśnictwo Irena, 66-533 Rąpin
97. *Julita Wójcik*, lat 11, szydełkowanie, geografia, pamiątki – ul. Polna 6/7, 59-700 Bolesławiec
98. *Elżbieta Wółkiewicz*, lat 14, płyty, kolorowe widokówki – Chojnowo, 09-310 Kuczbork
99. *Barbara Zbieć*, lat 13, pocztówki miast, kwiaty, zwierzęta – ul. Kilińskiego 5/18, 08-110 Siedlce
100. *Bogusława Ziębicka*, lat 15, widokówki, pocztówki ze zwierzętami i kwiatami – ul. Nowotki 3/6, 11-200 Bartoszyce.

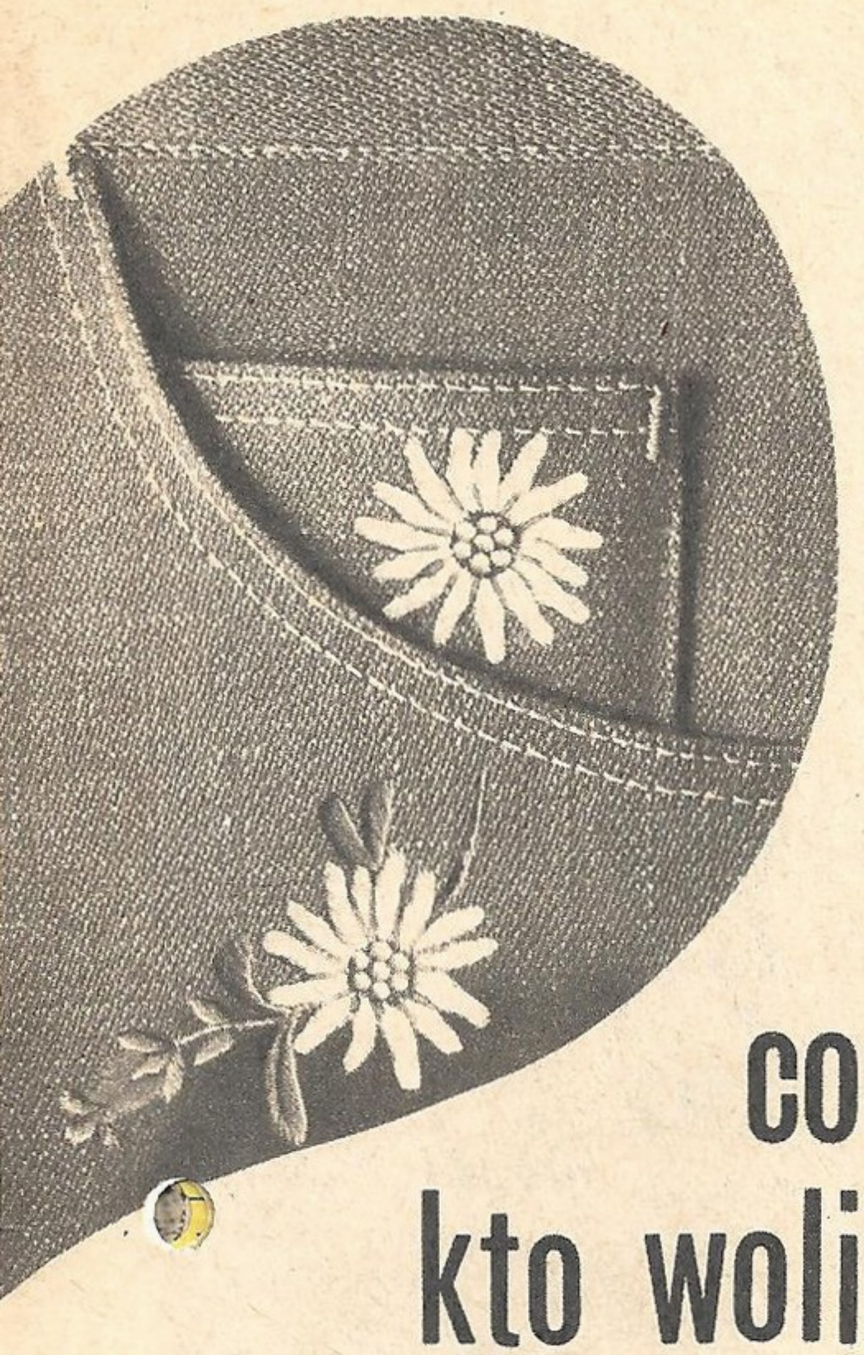

co kto woli

ROZWIĄZANIA Z NRU 24

Krzyżówka. Poziomo: 1) gwint, 5) hałas, 8) rafia, 9) zebra, 10) metro, 11) socha, 12) barka, 15) klasa, 18) kra, 20) stonka, 21) Krakus, 22) tor, 24) krowa, 27) salto, 30) locha, 31) mówca, 32) drzwi, 33) regał, 34) Radom, 35) okrąg. **Pionowo:** 1) grzyb, 2) imbir, 3) trasa, 4) oficer, 5) hamak, 6) Łotwa, 7) stopa, 13) aktor, 14) konew, 16) liana, 17) spust, 18) kat, 19) akr, 23) obcęgi, 24) komar, 25) obwód, 26) alarm, 27) sadło, 28) lazur, 29) obieg.
Minikrzyżówka. Poziomo: 3) Wilno, 4) uwaga. **Pionowo:** 1) Litwa, 2) Onega.

Uwaga! Za trafne rozwiązanie zagadek z nru 24 „Płomyka" nagrody książkowe wylosowali: Regina Bednarczyk – Radom; Sabina Bogusławska – Kozubu Nowe; Franciszek Lis – Wrocław; Bogusław Opacki – Sidra; Bożena Peter – Chocianów; Jacek Piekarski – Szczecin; Marzena Podkowicz – Białystok; Maria Rywak – Wyszatyce; Iwona Sienkiewicz – Piła; Adam Słupski – Wrocław.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Płomyk". Zagadki z numeru 4, ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa. Między Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy książki.

książki

Gdy trzeba zaopiekować się młodszym rodzeństwem lub zorganizować zabawę towarzyską, albo gdy się znajdziecie sami i będzie Wam trochę nudno, mogą się Wam przydać podłużne książeczki wydawane przez Krajową Agencję Wydawniczą pt. **„Wesołej zabawy"** (cena 10 zł), zawierają one: krzyżówki, diagramy, rebusy, żarty, eliminatki, przeskakiwanki, a także propozycje zabaw towarzyskich, porady, jak wykonywać sztuki „magiczne", a nawet – porady kucharskie. Na razie ukazały się trzy takie książeczki. Trzeba szukać ich w kioskach, w księgarniach i w bibliotekach.

●

Olśnić towarzystwo, zabłysnąć na polskim czy historii znajomością greckiej mitologii pomogą Wam niewielkie książeczki Jadwigi Żylińskiej: **„Tezeusz i Ariadna"** (KAW 1976, s. 57, cena 10 zł), **„Młodość Achillesa"** (KAW 1976, s. 57, cena 10 zł), **„Wyprawa po złote runo"** (KAW 1976, s. 69, cena 10 zł). Wszystkie trzy ilustrował Janusz Towpik. Autorka nie tylko bardzo barwnie opowiada w nich znane mity greckie, ale także lokalizuje je w przestrzeni geograficznej i wśród zdarzeń historii.

●

Książką o podobnej tematyce są **„Mity skandynawskie"**. Napisał ją według starych poematów i podań Północy Roger Lancelyn Green, przetłumaczyła na jęz. polski Aldona Szpakowska. (ilustr. Janusz Stanny, NK 1976, s. 174, cena 42 zł). Motto zamieszczone na początku brzmi: „Jest to wielka opowieść Północy, która dla całej naszej rasy powinna być tym, czym opowieść o Troi była dla Greków". Książka została pięknie wydana – nadaje się na prezent okolicznościowy. A warto porównać te właśnie mity z mitami Południa, by ujrzeć, jak klimat i okoliczności życia kształtowały fantazję ludzką.

●

Nieznaną Afrykę ukazuje książka Ady Winczy: **„Safari-hatari"** (Śląsk 1976, s. 209, cena 19 zł). jej autorką jest Polka mieszkająca od wielu lat w Afryce, a bohaterami powieści są młodzi chłopcy, synowie osiadłych tam Polaków, uczniowie wielonarodowej szkoły w Kongwie. Główny bohater, Mustafa Murzicz, potomek polskich Tatarów, przeżywa niezwykle wiele ciekawych przygód podczas wakacji, które, tak się złożyło, postanowił spędzić samodzielnie, został nawet przyjęty do szczepu Masajów, miał więc okazję, by poznać ich obyczaje mało znane Europejczykom.

●

Hobbistom polecamy książeczki wydawane przez „Horyzonty" w serii **„Mój konik"**. Ukazały się niedawno: Henryka Lisieckiego **„Hodowanie rybek"** (ilustr. Mirosław Pokora, s. 80, cena 5 zł), zawiera ona wszystkie podstawowe wiadomości o urządzeniu akwarium, pielęgnowaniu, karmieniu i rozmnażaniu rybek; oraz A. Konarskiej-Szubskiej **„Kaktusy i inne"** (ilustr. K. Rogaczewska, s. 110, cena 7 zł). Można z niej dowiedzieć się, jak pielęgnować i rozsadzać kwiaty doniczkowe w mieszkaniu, jak i co sadzić w skrzynkach balkonowych, w jaki sposób w środku zimy można się bez cieplarni postarać o kwiatki na imieniny mamy czy cioci wyhodowane własnym staraniem.

hask

13 nagród dla zwycięzców 13-osobowego quizu sienkiewiczowskiego

Pomiędzy uczestników quizu, którzy bezbłędnie odgadli, jakich bohaterów sienkiewiczowskich przedstawił na swoich rysunkach Eryk Lipiński („Płomyk" 21/1976) rozlosowaliśmy 13 nagród książkowych.
Oto lista nagrodzonych:
Piotr Bojarski (Toruń), Ewa Bonowska (Leszno), Jacek Chlebowski (Ełk), Ewa Ciślak (Kraków), Jacek Drabarek (Biała Podlaska), Grzegorz Grubalski (Rypin), Maria Kurkowska (Płock), Wanda Niewiadomska (Warszawa), Leszek Kaczmarek (Wieluń), Małgorzata Kozyra (Ełk), Rafał Poliński (Płock). Agnieszka Soczewka (Ełk), Agnieszka i Iwona Staszewskie (Pruszków).
Prawidłowe rozwiązanie quizu zamieściliśmy w 22 numerze.

WARUNKI PRENUMERATY – Cena prenumeraty krajowej „Płomyka" wynosi: kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84. Wpłaty na II kwartał przyjmowane są do dnia 10 marca 1977 r., na III kwartał i II półrocze – do 10 czerwca 1977 r., na IV kwartał – do dnia 10 września 1977 r. Wpłaty od Czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i doręczyciele. Szkoły i instytucje w miastach zamawiają prenumeratę w Oddziałach lub Delegaturach RSW „Prasa-Książka-Ruch", natomiast szkoły oraz instytucje z miejscowości, w których nie ma Oddziału (Delegatury) RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę w najbliższym urzędzie pocztowym. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO Nr 1531–71. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji.

Indeks 37114/38876 ● Skład techniką fotoskładu, Linotron 505 TC wykonały Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie. Druk: Z.G. „Dom Słowa Polskiego" Nakład 250 315 egz. Zam 504/CD F–89

ADRES REDAKCJI: ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa

TELEFONY: 26-26-31 (red. naczelny) 26-24-31 w. 80 (sekretarz redakcji) 26-24-31 w. 82 (Dział Łączności z Czytelnikami)

CIEKAWE ZABAWNE NIEZWYKŁE

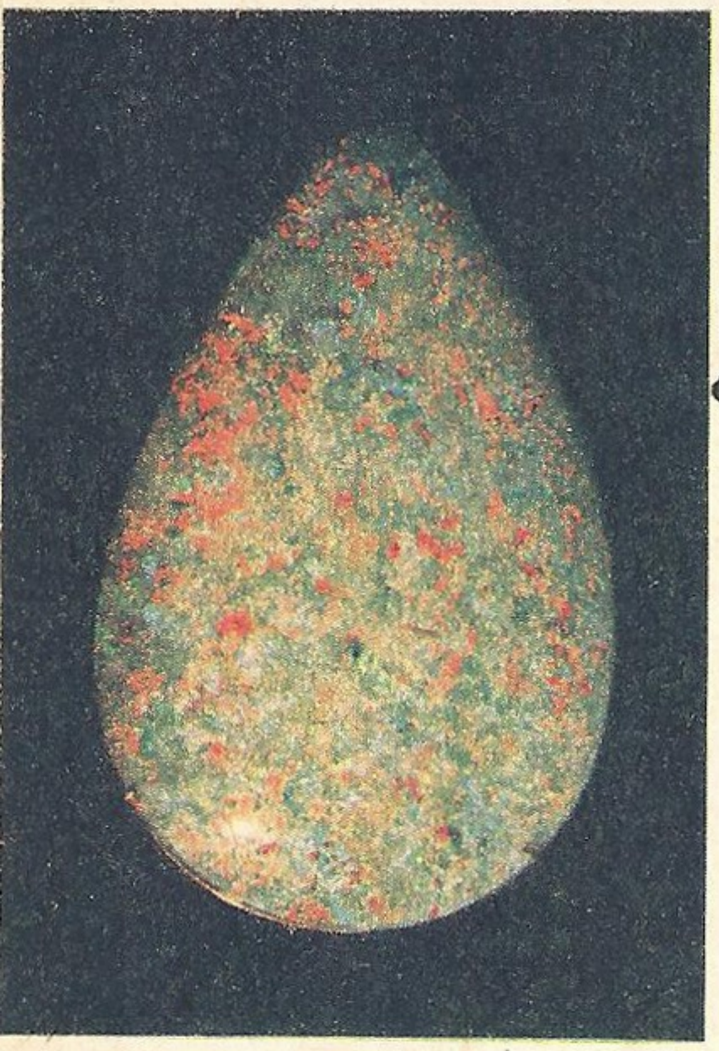

ZŁOTA MYŚL W RAMCE

Drogie kamienie zawsze wydają się większe tym, którzy je posiadają, niż tym, którzy je oglądają

Zasłyszane

Fotozagadka. Jak Wam się wydaje, co przedstawia ta fotografia? Karnawałowy balonik pomalowany w niezwykłe wzory, a może lekko zniekształcony globus?

Ani jedno, ani drugie. To po prostu wielokrotnie powiększony kamień szlachetny, opal, który już w czasach starożytnych używany był jako klejnot jubilerski. Ale nie tylko ze względu na swą wartość kamień ten godny jest zainteresowania. Przyjrzyjcie się jego niezwyklej budowie, którą uwydatnia powiększone zdjęcie. Istotną jej cechą są mikroskopijne kanaliki wodne, w których następuje rozszczepienie światła, dające w efekcie niezwykłą grę barw.

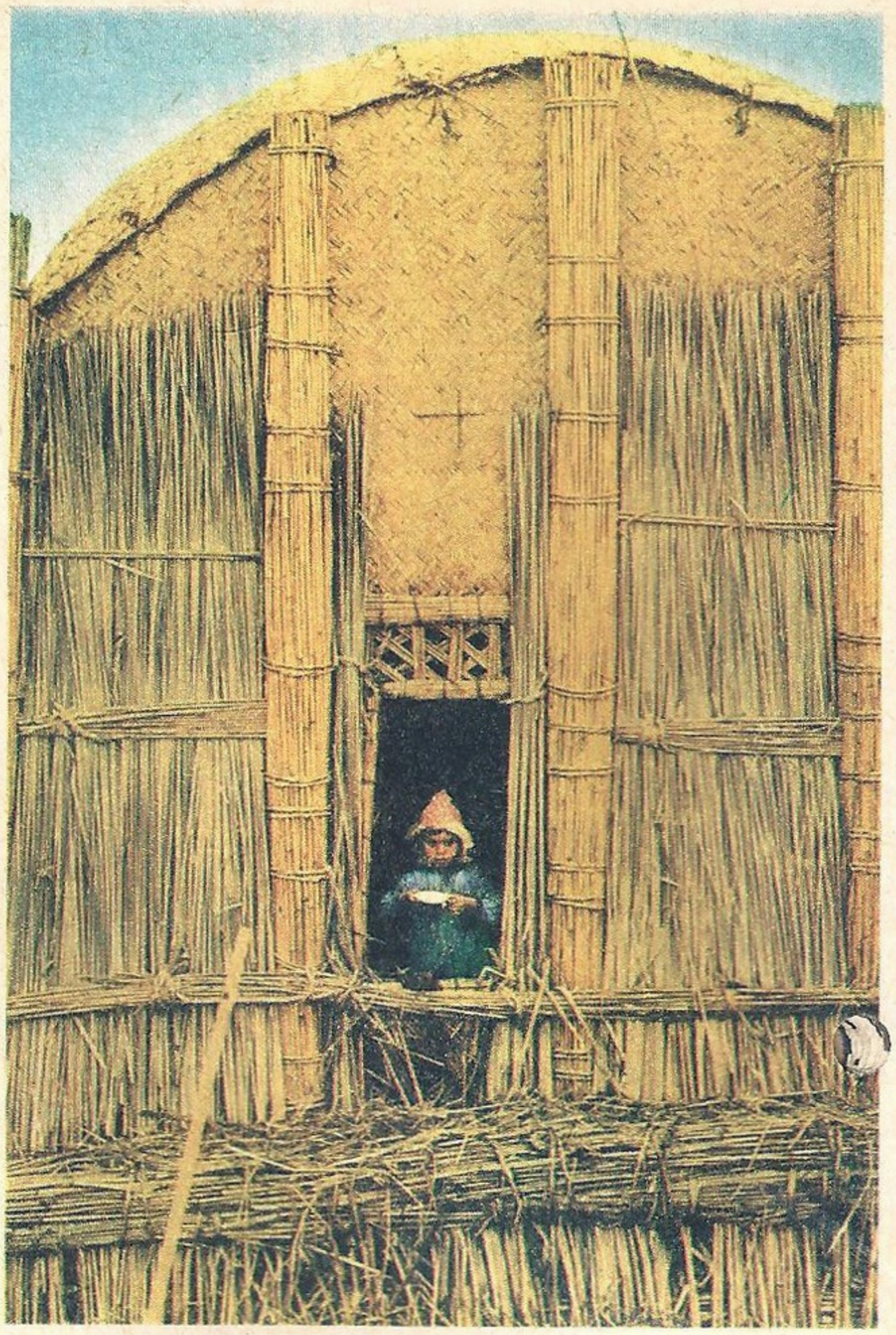

Laotańskie święta wiążą się z rolnictwem, które w tym kraju stanowi źródło utrzymania większej części społeczeństwa.

Święto Wiosny – to uroczyste obchody, które zaczynają się od wyprowadzenia na pole wołu, którego zaprzęga się do pługa i orze się kawałek ziemi, po czym sypie się ryż, kaszę, fasolę, orzeszki ziemne i bataty. Zależnie od tego, który z tych przysmaków wybierze wół – wróży to o przyszłych zbiorach.

Święto Powitania Wody obchodzi się na początku lata, w pierwszych dniach pory deszczowej, a na rozpoczęcie pory suchej – Święto Pożegnania Wody. Dni te ustanowione są ku czci „świętej" rzeki Mekong, która w dużym stopniu przyczynia się do użyźniania laotańskiej ziemi. Odbywają się wówczas wyścigi łodzi, puszcza się sztuczne ognie, a zabawom do późnej nocy towarzszą muzyka i śpiew.

Święto Lampionów Wodnych odpowiada mniej więcej naszym dożynkom. W tym dniu każda laotańska rodzina składa w świątyni petardy z ogniami sztucznymi i małe łódeczki bambusowe, na których ustawia się świeczki i wkłada małe srebrzyste cegiełki z papieru. Łódeczki te wieczorem przy zapalających się petardach puszczane są na wodę. Ceremonii tej towarzyszą też zabawa, tańce i śpiew, które trwają aż do rana.

Na fotografii: laotańskie kobiety z dziećmi w strojach uroczystych.

Dom w godzinę. W takim rekordowym tempie budują domy mieszkańcy irackiej wioski położonej na wysepce pośrodku jeziora Al Shayqal. Budulcem jest wysoka trzcina porastająca obficie brzegi jeziora. Ścina się ją ostrym, szerokim nożem, nastąpnie wiąże w wiązki i suszy. Kiedy przeschnie, można przystąpić do budowy. Dom, jaki w ten posób powstaje, nie przypomina naszych domów. Jest to raczej szałas, w którym arabska rodzina może wygodnie mieszkać przez jeden lub dwa sezony, a kiedy się niszczy – można bez większych kłopotów [illegible] stawić nowy.

Narty i gips. Na świecie jeździ na nartach ok. 50 milionów osób, 1 milion ulega rocznie wypadkom, a koszty leczenia ofiar tych wypadków szacowane są na 1 milion dolarów, czyli tyle, ile wynosi wartość jednorocznej produkcji nart.

Ile jest kóz? Koza – to nie tylko popularne zwierzę domowe służące człowiekowi od kilku tysiącleci. Taką samą nazwą określa się rodzaj armatki z XVI wieku, tak się nazywa areszt oraz mały żelazny piecyk z rurą. Koza – to również nosidło do cegieł używane niegdyś przez murarzy (zanim wprowadzono na budowę dźwigi), a także statek flisacki do przewozu zboża, ludowy instrument muzyczny oraz ryba z rodziny piskorzowatych. Aż tyle kóz jest w naszym języku!

POCZTA »PŁOMYKA«

Jak znaleźć wolny czas?

Drukujemy jeszcze dwa listy, które otrzymaliśmy już po zakończeniu dyskusji na temat „Jak znaleźć wolny czas dla siebie?" (patrz nr 24 z ub.r.). Obydwa te listy są przykładem rzeczywiście dobrej organizacji zajęć. Rezultat: mimo wielu zajęć, mimo rozległych zainteresowań – na wszystko można znaleźć czas.

Dawno już chciałam napisać, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Dopiero gdy moja koleżanka, która już kilka razy brała udział w dyskusjach „Płomyka", nazwała mnie „małym tchórzem", zdecydowałam się.
Chodzę już do VII klasy i w związku z tym nauki mam sporo, ale nie było jeszcze dnia, abym choć chwili wolnego czasu nie miała dla siebie. Jak go zdobywam? Po prostu nie dopuszczam do zaległości w odrabianiu zadań domowych; odrabiam je tego dnia, w którym są one zadane. Nie odkładam ich na później, bo jutro może być zadane jakieś dłuższe wypracowanie i wówczas mogłoby mi zabraknąć wolnego czasu dla siebie.
Mam zawsze swój wolny czas. Umiem go sobie wypracować, a nie muszę wykradać z minut poświęconych nauce, chociaż wcale nie mam takiego bezobowiązkowego życia.
Gdy przychodzę ze szkoły, a mama jest jeszcze w pracy, to muszę przygotować obiad, potem pozmywać naczynia, posprzątać. Po obiedzie [illegible]ieś około pół godziny czytam książkę albo [illegible]cham muzyki, a następnie zabieram się do nauki. Temu, kto odpocznie, nauka idzie o wiele łatwiej. Nie popieram tego, co robią niektórzy, a mianowicie – gdy przyjdą ze szkoły zaraz zabierają się do odrabiania lekcji. To jest po prostu męczące. Praca w kółkach zainteresowań nie zajmuje mi najwięcej czasu, ale sprawia mi dużą przyjemność i jest miłą rozrywką.
W czasie wolnym od nauki i innych zajęć lubię zajmować się czymś na świeżym powietrzu (to daje duże odprężenie). Lubię też spotkać się z przyjaciółmi, a nawet pisać wiersze (to robię od niedawna). Zajmuję się także korespondencją z przyjaciółmi ze Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Wieczorem zostaje mi jeszcze czas na obejrzenie telewizji lub pójście do kina.
Czasem trzeba dobrze rozporządzić, a wówczas znajdą się zawsze wolne chwile na rozrywkę.

Hala

Jestem Waszą czytelniczką od V klasy. Obecnie chodzę do VIII klasy; mam 13 lat.
Jestem przewodniczącą Samorządu Uczniowskiego. Moja praca związana z tą funkcją to: redagowanie gazetki „Puchacz" (jest to informator Samorządu Uczniowskiego), organizowanie zebrań członków tej organizacji oraz pomoc sekcji redakcyjnej w robieniu fotogazetek związanych z hasłami poszczególnych miesięcy i tygodni. Jestem również członkiem Szkolnego Koła PCK, gdzie pełnię funkcję sekretarza. W Samorządzie Klasowym jestem kronikarzem klasy VIII. Należę również do ZHP – jestem zastępową dziewcząt z mojej klasy – „Wędrowniczek".
Z moimi funkcjami wiąże się naprawdę dużo pracy. Przy tym należę jeszcze do kół zainteresowań – polonistycznego i matematycznego. Do domu wracam po godzinie 15. Od razu nie jestem w stanie zabierać się do odrabiania lekcji, sprzątam więc mieszkanie, w czym pomaga mi młodsza siostra. Gdy już jest miło i czysto, wówczas zabieram się do lekcji. Jeszcze przed obiadem odrabiam lekcje pisemne, następnie pomagam mamie w posprzątaniu kuchni i w pozmywaniu naczyń. Następnie uczę się lekcji ustnych (mamusia również się uczy, gdyż studiuje). Gdy kończę odrabiać lekcje (co zajmuje mi około 3 godziny), to prowadzę kronikę: szukam ilustracji, wklejam. Następnie odpisuję na listy – prowadzę korespondencję z pięcioma osobami. Ponieważ mieszkam na wsi i nie ma tutaj kina, więc niektóre filmy oglądam w telewizorze. Moje hobby to muzyka – gra na pianinie. Mamy w domu pianino i akordeon. Na pianinie gram muzykę poważną (bardzo lubię Straussa i Bacha) i muzykę rozrywkową. Popularne piosenki z radia lub telewizji przenoszę na klawiaturę. Gram je ze słuchu lub z nut, przy tym śpiewam. Moim drugim „konikiem" jest prowadzenie albumu z piosenkarzami oraz z tekstami piosenek. Lubię też czytać książki – szczególnie o tematyce młodzieżowej, lecz w powszednie dni mam mało czasu, gdyż są i obowiązkowe szkolne lektury.
Dziwię się tym, którzy narzekają, że nauka zajmuje im cały dzień i że nie mają czasu na żadne hobby. Może dlatego nie muszę się dużo uczyć, że na lekcjach uważam i zapamiętuję, co mówi nauczyciel. A lekcje pisemne odrabiam w ten dzień, kiedy są zadane. W domu nigdy się nie nudzę. Moje życie jest urozmaicone i wesołe, mimo że mieszkam na wsi.

„Marlena"

Umieram z nudów

Nasi nauczyciele zadają nam bardzo mało, a więc wolnego czasu zostaje sporo i muszę się nudzić. Nie mam żadnych zainteresowań. W V klasie zainteresowała mnie biologia, ale mi się znudziła. Zwracam się więc z pytaniem: „jakie sobie wybrać hobby?" Koleżanki nie potrafiły mi doradzić, co może być dobre dla mnie, to znaczy, co może być w moim stylu. Mojemu bratu bardzo zazdroszczę, że pasjonuje się astronomią. Ale to nie dla mnie. Proszę więc, Redakcjo, doradź mi, bo ja umieram z nudów.

Beata z kl. VI

Jest to list całkiem wyjątkowy, gdyż jeszcze się chyba nie zdarzyło, by ktoś narzekał, że nauczyciele zadają za mało lekcji... Wydaje nam się jednak, że nie oni za mało zadają, lecz że Ty nie potrafisz solidnie lekcji odrabiać. A może masz same piątki i rzeczywiście nauka przychodzi Ci bardzo łatwo? Jeśli tak – to koniecznie powinnaś samodzielnie rozwijać i pogłębiać swoją wiedzę w jakiemś kierunku. A w jakim? Może poradzisz się brata, który zna Cię lepiej niż my. W każdym razie radzimy dużo czytać. Jest to najlepsze lekarstwo na nudę, a równocześnie droga do rozbudzania różnego rodzaju zainteresowań. A może pomogą Ci zamieszczone wyżej listy koleżanek, które dobrze wiedzą, co robić z wolnym czasem.

Dwója za rozpuszczone włosy

Jesteśmy uczennicami kl. VIII i znalazłyśmy się w trochę głupiej sytuacji, ponieważ zastępca naszej wychowawczyni (która poszła na urlop) nie pozwala nam nosić rozpuszczonych włosów, nawet takich, które nie sięgają do ramion. Twierdzi on, że powinniśmy je wiązać. Uważa, że z rozpuszczonymi włosami możemy iść tylko na bal, a nie do szkoły, My natomiast jesteśmy innego zdania. Koleżanki z młodszych klas mogą mieć rozpuszczone włosy, a dlaczego my nie, chociaż jesteśmy starsze? Nasz wychowawca chyba nas nie rozumie... Pewnego razu nie zawiązałyśmy włosów, to dostałyśmy obniżony stopień z zachowania. Próbujemy wychowawcę przekonać, ale bez skutku.
Bardzo prosimy o wydrukowanie tego listu i o odpowiedź co robić.

Uczennice z kl. VIII

Sprawa zewnętrznego wyglądu ucznia powinna być określona w regulaminie szkolnym, ułożonym wspólnie przez Dyrekcję i Samorząd. Nie mogą istnieć różne przepisy dla różnych klas. Sprawa dziewczęcych fryzur – pewnej swobody w tym względzie, ale i estetycznego wyglądu – nadaje się do omówienia z Dyrekcją Szkoły. Jeśli jednak dyrektorem jest również mężczyzna – należałoby poprosić jako [illegible]oznawcę którąś z pań nauczycielek.

Po nazwisku czy po imieniu?

W naszej szkole nauczyciele zwracają się do nas po nazwisku, a przecież nie każdy ma ładne nazwisko i niektórym może być z tego powodu przykro. Chciałabym wiedzieć, jak jest w innych szkołach. Myślę, że o wiele przyjemniej byłoby nam, uczniom, gdyby nauczyciele zwracali się do nas po imieniu.

Ramona Szychowiak z Szamocina

Różni nauczyciele mają różne zwyczaje. Wydaje nam się, że i jedna, i druga forma zwracania się jest właściwa. Są też nauczyciele, którzy używają obu form – wywołując tego samego ucznia raz po nazwisku, kiedy indziej znów po imieniu. Nauczyciele, którzy uczą wiele klas, mają nieraz trudności z zapamiętaniem imion wszystkich swoich uczniów. Jeśli zaś chodzi o „brzydkie" nazwiska – to jest to kwestia gustu oraz przyzwyczajenia. W życiu koleżeńskim przekręca się nieraz najzwyklejsze nazwiska, a te dziwne i niezwykłe przyjmują się i nikogo to nie razi.

Przerwy na wesoło

U nas w szkole tak naprawdę to sprawa długich pauz została rozwiązana dopiero w tym roku szkolnym. W poprzednich latach nauczyciel wychowania fizycznego prowadził przez radiowęzeł, krótką gimnastykę, ale to w końcu się wszystkim znudziło. W tym roku szkolnym powstał pomysł zorganizowania tzw. „przerw na wesoło". Teraz takie przerwy odbywają się u nas raz w miesiącu i za każdym razem organizuje je inna klasa. Cieszą się one dużą popularnością. Podczas takiej pauzy można na każdym piętrze zobaczyć wiele postaci z bajki, książek przygodowych lub programów telewizyjnych. U nas największą popularnością cieszyła się moda retro.
Akcję tę zorganizowaliśmy dla rozbawienia wszystkich i w tym dniu wszystkim uczniom naszej szkoły wspaniale się pracowało. Uczniowie i nauczyciele byli w dobrym humorze. Było nadzwyczajnie!

Anna Gurdak z kl. VII b,
ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Nowej Dębie

KONKURS NA WIOSENNE KREACJE ZE SKRAWKÓW

Robótki ręczne nadal cieszą się ogromnym uznaniem i coraz więcej czasu im się poświęca. Oto tkaniny powstałe z pozszywanych ze sobą małych kawałków materiałów, czyli tzw. łaciaki.

Jak te kawałeczki łączyć? Można je naszywać na jeden większy kawałek płótna lub podszewki, można wprost na ubraniu czy też na fragmentach ubrania. Można skrawki zszywać bezpośrednio ze sobą. Materiały, z których wykonujemy taką zszywankę, powinny być podobnej grubości i gatunku. Dobrze jest przed przystąpieniem do pracy przygotować odpowiednią ilość łatek (można się zorientować, ile ich potrzeba, przykładając je do rzeczy już uszytej), wybrać gamę kolorystyczną materiału, który ma powstać i obmyślić system konstruowania wzorów. Nasz rysunek podpowiada parę wariantów zszywania łaciaków, inne podsunie Wasza własna fantazja.

A co można zrobić z takiej oryginalnej tkaniny? Bliżej nie określamy, ale możliwości są ogromne: od przedmiotów domowego użytku (poduszek, narzut, serwet), poprzez podobne elementy stroju – aż do całych kreacji. Gdy się na taki strój zdecydujecie, z pewnością będziecie z niego zadowolone, bo prezentować się może niezwykle efektownie. Nieco pracochłonna metoda powstawania takiego ubranka gwarantuje jego niepowtarzalność, a przecież każda z Was lubi nosić rzeczy nieszablonowe... Więc – do dzieła! Powitajcie nadchodzącą wiosnę kreacją ze skrawków.

Elżbieta Monika Małkowska

OD REDAKCJI:

Potraktujcie łaciaki jako inspirację do własnych pomysłów ubraniowych. Przyślijcie propozycje rysunkowe, z krótkim opisem. Najciekawsze projekty WIOSENNYCH KREACJI ZE SKRAWKÓW przedstawimy w „Płomyku", a autorkom (lub autorom!) przyznamy nagrody. Czekamy na Wasze projekty do ukazania się następnego numeru. Na kopercie dopisujcie: „Wiosenne kreacje".

CENA
3,50 zł